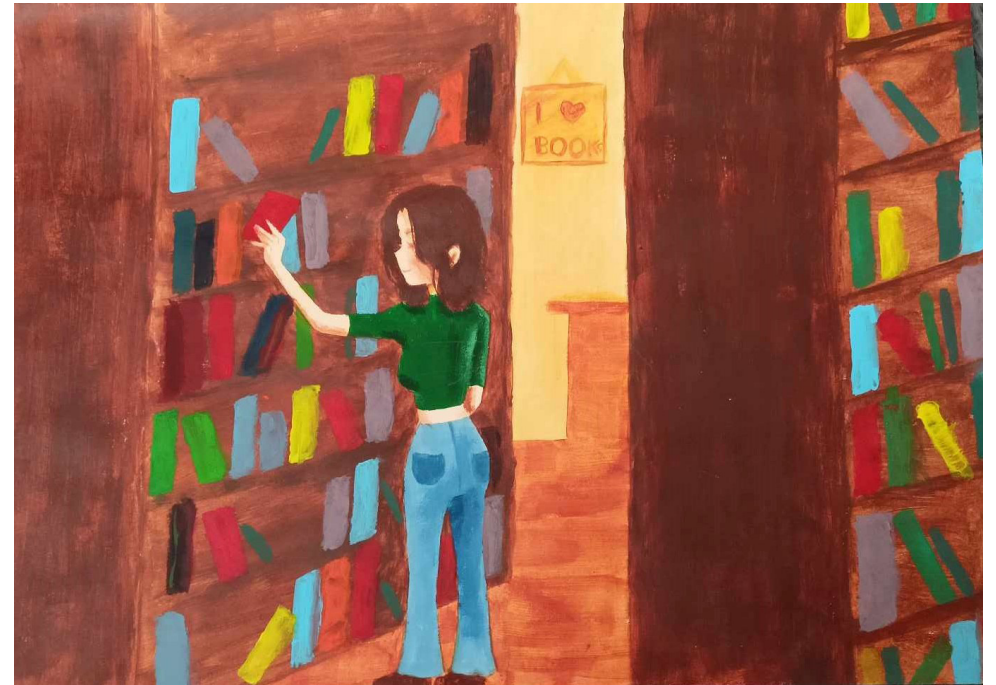


Oswoić słowa

Wiersze i proza uczestników projektu:

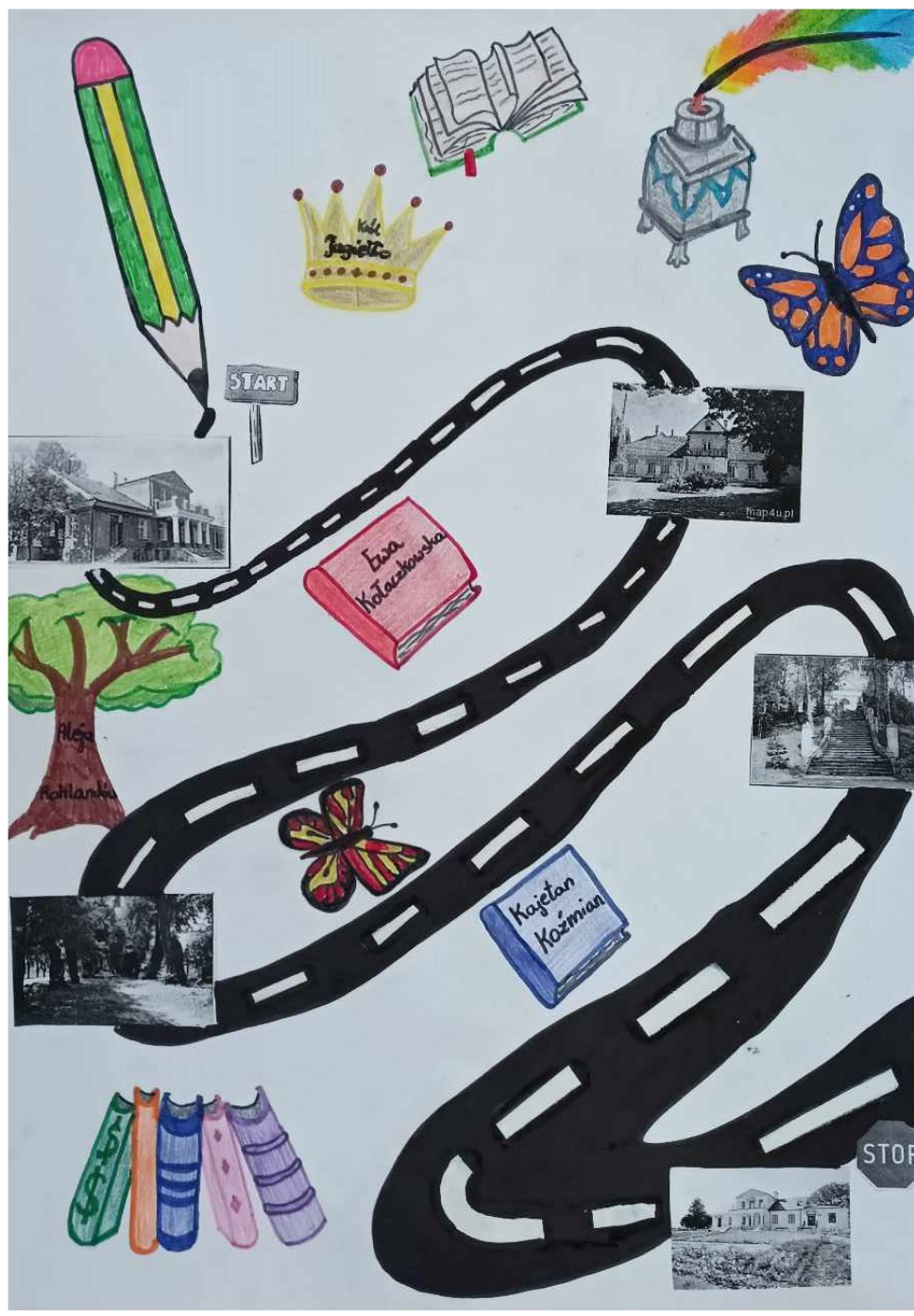
Literacka mapa gminy Strzyżewice



Oswoić słowa

Wiersze i proza uczestników projektu:
Literacka mapa gminy Strzyżewice

Strzyżewice, 2023



Natalia Golega, Literacka mapa gminy Strzyżewice

Miejsce zbiórki

Gminna Biblioteka Publiczna im. Ewy Kołaczkowskiej w Strzyżewicach
w kilku słowach do Czytelników 6

Przystanek nr 1

Dworek rodziny Kołaczkowskich obecnie będący siedzibą Gminnej
Biblioteki Publicznej im. Ewy Kołaczkowskiej w Strzyżewicach 7

Przystanek nr 2

Dworek i zabytkowy park Kajetana Koźmiana w Piotrowicach 19

Przystanek nr 3

Posiadłości Rohlandów i zabytkowa aleja lipowa
w dzisiejszej Pszczelej Woli 41

Przystanek nr 4

Kielczewice, gdzie przed laty gościł król Władysław Jagiełło 53

Stacja końcowa:

Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej,
czyli znów w rodzinnym dworku Ewy Kołaczkowskiej 71

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Państwa ręce niecodzienną publikację, będącą zwieńczeniem warsztatowej pracy osób zaangażowanych w realizację inicjatywy ***Literacka mapa gminy Strzyżewice***. Projekt wyłoniono w Konkursie Inicjatyw Lokalnych organizowanym przez Gminną Bibliotekę Publiczną im. Ewy Kołaczkowskiej w Strzyżewicach, a skierowany był on do osób, którym literatura jest bliska – dla piszących różne formy literackie, ale także dla tych, którzy chcieli spróbować swoich sił w przenoszeniu myśli na papier. W projekcie także wzięły udział osoby chcące zgłębić temat dotyczący naszej małej ojczyzny, interesujące się środowiskiem lokalnym. Grupa miała charakter otwarty.

Celem działania było rozbudzanie literackich pasji i zainteresowań głównie mieszkańców gminy Strzyżewice, ich integracja, propagowanie czytelnictwa, zwiększenie oferty zagospodarowania czasu wolnego i poszerzenia oferty biblioteki.

Społeczności lokalnej przedsięwzięcie zapewniło ciekawe spędzenie czasu wolnego oraz było kolejnym sposobem na integrację mieszkańców wokół słowa pisanego, gdyż projekt propagował szeroko pojętą literaturę, zachęcał do przyjscia do biblioteki, wypożyczania książek, czytania czasopism, itd.

Mieszkańcom gminy Strzyżewice działanie pozwoliło ocalić od zapomnienia wybrane miejsca, wydarzenia, które miały miejsce na okolicznych terenach. Można było pochylić się nad zagadnieniem traktując temat w ujęciu historycznym lub tworząc fikcję literacką.

Zapraszamy Cię Czytelniku do literackiej podróży po gminie Strzyżewice.

Ps. Na pewno się nie zmęczysz, w trakcie wycieczki przewidujemy przystanki ☺

Koordynator projektu:

Małgorzata Pruchnicka

Dyrektor Monika Zagórska i Pracownicy

GBP im. Ewy Kołaczkowskiej
w Strzyżewicach

Przystanek nr 1

Pierwsze spotkanie z cyklu pod nazwą *Literacka mapa gminy Strzyżewice* poświęcone było patronce Gminnej Biblioteki Publicznej w Strzyżewicach – Ewie Kołaczkowskiej. To właśnie tam, czyli w obecnej bibliotece, a dawniej dworze rodziny Kołaczkowskich odbyły się pierwsze warsztaty literacko – regionalne.

Spotkanie rozpoczęła pani Monika Zagórska - Dyrektor strzyżewickiej biblioteki, która serdecznie nas powitała i poinformowała o tym skąd Biblioteka pozyskała pieniądze na realizację naszego projektu.

Następnie koordynator przedsięwzięcia – Małgorzata Pruchnicka, opowiedziała o głównych założeniach inicjatywy *Literacka Mapa Gminy Strzyżewice*.

Kolejnym etapem spotkania było przybliżenie wybranych form literackich przez panią Annę Otrocką - emerytowaną nauczycielkę języka polskiego.

Zasadniczą część spotkania poprowadził pan Grzegorz Kuras – prezes Strzyżewickiego Towarzystwa Regionalnego, który opowiedział nam o pani Kołaczkowskiej i Jej rodzinie.

Kiedy przyszedł czas na część literacką, zagraliśmy w skojarzenia dotyczące p. Ewy Kołaczkowskiej, pasujące do naszego hasła BIBLIOTEKA, i być może ułatwiające nam odrobienie pracy domowej. Spotkanie było dostosowane do osób w każdym wieku: kiedy starsza młodzież i dorośli zgłębiali tajniki języka polskiego czy historii rodu Kołaczkowskich, młodszy uczestnicy spotkania wyrażali się artystycznie. Pod koniec spotkania na tablicy pojawiły się (do wyboru) tematy pracy domowej:

1. O czym dziś marzyłaby pani Ewa Kołaczkowska?
2. „Pani Ewa wie, dokąd kierować swoje kroki. Była już tutaj, ale wtedy wszystko wyglądało inaczej. Wchodzi do pokoju...” - Rozwiń temat, zawierając powyższe zdania lub ich fragment w swoim tekście.
3. Temat dowolny, np. Moja wizyta w bibliotece.

Zgodnie z deklaracją Uczestników warsztatów powstały wiersze, opowiadania i prace plastyczne. Zachęcamy do lektury:

O czym dziś marzyłaby Ewa Kołaczkowska?

O marzeniach ulotnych
Nie zawsze spełnionych
O książce z niebieskim napisem
O lalce siedzącej z misiem

W jej oczach dręczące pytania
O nich nie powiedziała

Dzisiaj wciąż tak samo
Bzy pachną, blaskiem olśniewa

Zapach wiosenny.
Jednak makijaż jesienny,
a nastrój zmienny...

„Myślę, że dziś Ewa Kołaczkowska marzyłaby o powrocie w rodzinne strony,
w czasy dzieciństwa, kiedy to w Strzyżewicach bez pachniał pod Jej oknem...”

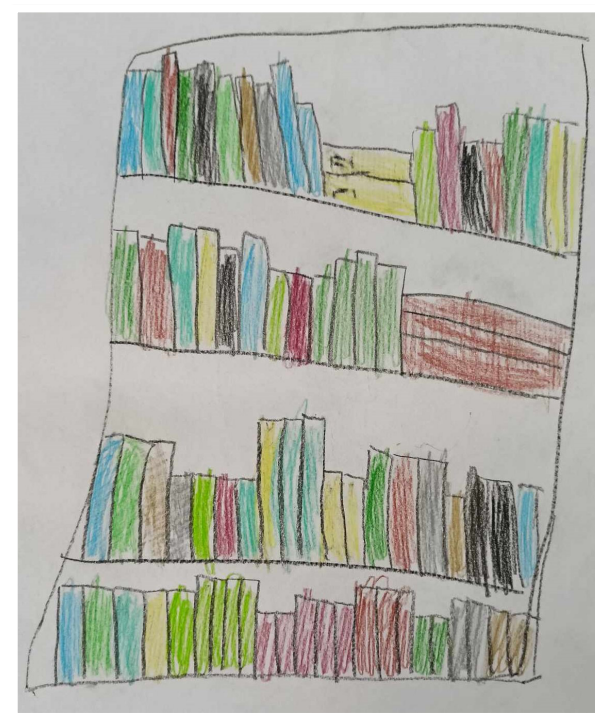
Klaudia Poleszak

O czym dziś marzyłaby Ewa Kołaczkowska?

Gdzieś niedaleko miasteczka
Chciałaby usiąść na ławeczce
Gdzie wokół rośnie piękny bez
Na świeżym powietrzu by rozmawiała
Młodzież zaciekawiona by słuchała
A Ona ze szczęścia by płakała
Nie wiedziała, że młodzież jest taka ciekawa

„Myślę, że Ewa Kołaczkowska marzyłaby o rozmowach prowadzonych w strzyżewickim dworze, z młodymi ludźmi, że chciałaby im przekazać swoje cenne życiowe doświadczenia...”

Maja Polak



Basia Kołodziejczyk, Książki

Tu się wychowała

Pani Ewa Kołaczkowska
gdy ostatni raz Strzyżewice odwiedziła,
zachwycała się
zapachem bzu
nieświadoma tego,
że zostanie w stolicy
po kres jej dni.

Dziś pozostała nam biblioteka
w dawnym dworcu Kołaczkowskich.
Miejsce, gdzie się wychowała,
Jej rodzinne strony,
które w swojej twórczości
tak pięknie opisywała.
I za którymi z pewnością
często tęskniła.

Agata Zemszał

Marzenia Kołaczkowskiej

Ewo Kołaczkowska, duszo pełna marzeń,
co w Twoim sercu skrywało się tajemniczo?
Czy pragnienia twe najskrytsze niegdyś,
na skrzydłach marzeń wzbiły się wysoko?

Marzyłaś może o wolności lotu,
jak ptak swobodnie unoszący się w powietrzu.
Czy może marzyłaś o wielkiej miłości?
O sercu, które tę miłość zrozumie?
A może marzyłaś o świecie pełnym sztuki?
O piórze nieskończonym i pomysłach na twórczość?
By twój talent rozkwitał, jak kwiat w ogrodzie.

Anna Kołodziejczyk



Moja wizyta w bibliotece, Basia Kołodziejczyk, lat 6

Barokowe kaczkę na pikniku, czyli marzenia, miłość i... wypadające pióra

Słońce wzniosło się hen, wysoko, ciepłymi promieniami ogrzewając ziemię i kołyszące się na długich łądkach barwne kwiaty. Gdzieś obok przefrunął motyl o szafirowych skrzydełkach, trawy szeleściły uspokajająco, a niedaleko śpiewały ptaki. Było zupełnie jak w starej baśni.

Harmonijną melodię przerwało głośne kwakanie mające przypominać nieskoordynowaną pieśń, która zgubiła melodię. Wydeptaną dróżką podążały gęsiego trzy kaczkę, każda w nieoczywistym ubraniu. Na przodzie, kołysząc się beztrudno, dreptała ptaszyna o piórach niemal czerwonych. Na sobie miała barokową suknię pozbawioną rękawów, w ekstrawaganckim stylu. Juan, bo tak miała na imię, w swoim stroju przypominał kwiat maku o postrzępionych płatkach. Jego suknia miała intensywny krwisty odcień, który wspaniale komponował się z kolorowymi kwiatami na łączce. Całkowity chaos wbrew pozorom pasował Juanowi, nadając mu baśniowego wyglądu. Idący obok Eduardo przypominał piwonię. Jego suknia w delikatnym romantycznym stylu, emanowała subtelnością. Falbany z lekkiego materiału, acz misternie wykonane, kołysały się za nim i błyszczały jak skrzydła ważki. Miał pióra też w odcieniu czerwonym jak Juan, jednak bardziej wyważone, miedziane. Za nim podążał zamyślony Pedro, raz po raz, kwacząc coś do melodii Juana. Kaczor miał kruczoczarne roztrzepane pierze i kilka białych piegów nad dziobem. Suknia czarna i elegancka otulała jego drobne ciało, a wysoki stojący kołnierz sprawiał, że wyglądał dość zabawnie. Pedro przypominał lilie wyrafinowaną, pełną pewności siebie i powagi. Kaczkę zatrzymały się na wygniecionym fragmencie łąki, kwiaty nadal sięgały wysoko nad nie, ochraniając je jak barwny parawan. Juan energicznie rozłożył wypłowiały koc. Eduardo postawił kilka butelek z różnym winem i herbatą z hibiskusa, a Pedro postawił gigantyczny kosz, wypełniony po brzegi czosnkowymi bagietkami, pączkami z budyniem i rogalami z nadzieniem czekoladowym. Nie mówiąc wiele (z wyjątkiem Juana rozmawiającego ze sobą) rozłożyli smakołyki i rozsiedli się wygodnie na kaczyc kupkach. Jak to zazwyczaj bywa rozmowę rozpoczęli od całkiem przyziemnych tematów: „czy woda w stawie nie była za zimna i mokra?”, „czyśmy są ładniejsze od motyli?” lub „czy trawa nie jest zbyt gorzka?”

Kaczkę różniły się między sobą zdecydowanie. Była to taka trójka: marzycielski Juan kochający zatapiać się w książkach i zaczynać dyskusje rozpalające myśli innych, bardziej przyziemny Eduardo, uwielbiający czytać romanse i Pedro - intelektualista, lubujący się w debatach merytorycznych. Nie minęło wiele czasu, gdy Eduardo podzielił się fragmentem ostatnio przeczytanej lektury. Nawet zwykle krytyczny Pedro okazał jego zainteresowanie.

– Czy prawdziwe uczucie można opisać w słowach? – Zamyślony dotąd Juan zapytał uroczyście.

– Jestem pewien, że tak. Czy nie ma tylu pięknych książek? – Eduardo odparł z przekonaniem.

– Co to jest? To nie jest dłoń. To miłość, która me ramię w rękę trzyma.

– Naiwnie – Pedro zaprzeczył od razu – według definicji biologicznej, Miłość jest stanem emocjonalnym wywołanym przez uwalnianie określonych neuroprzekaźników, takich jak oksytocyna, dopamina i serotonina, które wpływają na nasze odczucia, przywiązanie i pozytywne doświadczenia emocjonalne. To kompleksowy proces biochemiczny, który kształtuje nasze zachowanie i relacje. Nawet z punktu ewolucyjnego to tylko mechanizm zapobiegający wyginięciu gatunku. Poprzez wyzwalanie silnych emocji, wiąże partnerów w trwałe związki, co sprzyja opiece nad potomstwem i zwiększa szanse na przekazanie genów. Wzorce zachowań związanych z miłością, takie jak zaufanie, zaangażowanie i troska, są ewolucyjnie ukształtowane. Nic więcej, nic mniej. Obie kaczkę spojrzały na Pedro z politowaniem.

– Tak bezduszenie – jęknął Juan. – Choć z drugiej strony to nie miałoby racji bytu? Czy tak nie byłoby zabawniej?

– Chcesz wierzyć, że nie jesteśmy niczym więcej niż biologiczno–chemicznymi reakcjami w naszych mózgach? – Eduardo spytał z powątpiewaniem.

– Dzisiaj jesteś bardziej pełny dopaminy. A może oksytocyny?

– Nie ważne, nie rozpoczynałem tego tematu.

– Zdecydowana serotonina, jesteś kaczorem o regularnym nastroju. Może rogalika? Niedobór może zakończyć się długotrwałą przykrością.

Pedro zachichotał, wgryzając się w bagietkę.

– Opowiadam się za oksytocyną.

– Rany, dlaczego ja tu jestem? – Narzekał Eduardo, gdy jego przyjaciele śmiali się ciepło.

– Wracając do tematu miłości, skąd mamy wiedzieć, że nie jest tylko iluzją stworzoną przez nasze umysły? Chcemy wierzyć, że jesteśmy bardziej rozwinięci, ot dla przykładu... od prymitywnych ludzi lub jagniąt. Jednak w rzeczywistości każde z nas jest jedynie zwierzęciem, dążącym do podtrzymania gatunku.

Juan zamyślił się.

– Może w innej rzeczywistości bylibyśmy tylko zwykłymi bezmyślnymi zwierzętami. Wyobraźcie to sobie panowie.

– To przerażająca myśl – Pedro niemal trząsł się z obrzydzenia.

– Nie zastanawiałeś się nigdy jak to byłoby być żabą, która oddycha całą powierzchnią swojego ciała? My nawet nie możemy zmoknąć przez pióra. Dosłownie spływa po nas, jak po kaczkę!

– Ograniczmy mu cukier – Eduardo szepnął konspiracyjnie do Pedro, a ten z rozbaawieniem skinął kaczym łepkiem.

Rozmawiali ze sobą nadal, aż do zachodu słońca. Trzy kaczkę: Pedro, Eduardo i Juan.

Joanna Kuśmierz

Kolacja w bibliotece

Wszystko było należycie przygotowane. Kremowy obrus rozpostarty na stole przyozdabiały soczyście zielone serwetki. W pomarańczowym wazonie dumnie prostowały się żółte tulipany. Wiosna była już w całym kraju, także w Strzyżewicach. Tu nawet bardziej się rozgościła niż w innych rejonach Polski. Elegancka zastawa stołowa pięknie prezentowała się na wiekowym, masywnym stole. Stole, który wiele przeszedł. Krzesła może nie były tak leciwe, jednak również dużo pamiętały. Wyglądzałam tapicerskie obicie na jednym z nich i pomyślałam, że jest ono nawet w swym kolorze bordo, bardzo dostojne i gotowe na to, bym mogła podjąć dziś tak szczególnego gościa. Nieco skrępowana byłam faktem, że kolacja odbędzie się w bibliotece, nie w jadalni, choć tak naprawdę to nie pamiętałam, dlaczego obecnie jadalnia jest w bibliotece, lub biblioteka w jadalni... Problemy z pamięcią, coraz częściej mi się przytrafiały, więc przestałam się tym kłopotać, tym bardziej, że z kuchni wychodziły, wręcz galopem wybiegały aromaty potraw, którymi zamierzałam podejmować panią Ewę. Kucharcę poleciłam, by przygotowała tylko te potrawy, które kojarzą się pani Ewie ze Strzyżewicami. Z czasem spędzonym w rodzinnym domu Kołaczekowskich. Zerknęłam na przygotowane potrawy. Ile ich było! Tak, by pani Ewa znów mogła posmakować swoje dzieciństwo.

– Ach ta Stasia, wspaniale się spisała – pomyślałam.

Wierzyłam, że w smaku, pani Ewa Kołaczekowska odnajdzie dawne chwile. Choć ich jakąś część. Najlepiej jak największą ilość wspomnień. Tak bardzo chciałam sprawić mojemu gościowi przyjemność. Szykowałyśmy się na to spotkanie od wielu miesięcy. Ustalałyśmy zawsze wszystko listownie. Pani Ewa preferowała właśnie taką formę kontaktu, a i mnie zależało na tym, by pielęgnować tę rzadką dziś umiejętność pisania listów. Przejrzałam się w lustrze, miałam na sobie jasną muślinową suknię „w rzucik”, z falbanami przy trzyćwierciowych rękawach¹, poprawiłam ją, założyłam delikatną biżuterię i czekałam. Zegar wybił właśnie godzinę dziesiętną. W drzwi zastukano kołatką. Odźwierny je natychmiast otworzył. Nie czekałam na anonsowanie, wybiegłam na przywitanie.

– Dzień dobry! Pani Ewo, tak się cieszę, że panią widzę.

– Witaj Małgorzato, też się cieszę. Bardzo się cieszę.

Trochę te powitania trwały. Wymieniłyśmy też uściski, dopiero po chwili mogłam powiedzieć:

– Zapraszamy do nas, proszę się czuć swobodnie, jest pani u siebie, pani Ewo.

Moja rozmówczyni zamilkła. Łzy wzruszenia odebrały jej mowę. Oddała płaszcz i stała, jakby wrosła w ziemię. Przez chwile oczami wodziła po pomieszczeniu, po czym wzrok zatrzymała na stole, przyglądając się zastawie, chciała coś powiedzieć, ale głos znów uwiązł w gardle...

Ktoś ze służby wskazał miejsce pani Ewie, która zasiadła i wreszcie powiedziała: *Po śmierci swoich rodziców, matka dostała serwis obiadowy z angielskiego fajansu o bogatym wzorze stylizowanych rdzawych kwiatów wśród szaroniebieskich liści ozdobionych kobaltem. Nie udało mi się dowiedzieć, z jakiej manufaktury pochodził – talerz z identycznym wzorem tylko z przewagą koloru rdzawego widziałam w Victoria and Albert Muzeum w Londynie z datą ca. 1790. Był to serwis wyprawni Zofii Ciechanowskiej obliczony na 48 osób z mnóstwem różnej wielkości półmisek, wazek do sosów o pięknym kształcie, salatek na krzywych nóżkach z wypukłymi pokrywkami. Talerze głębokie są ogromnych rozmiarów, deserowe też większe niż normalnie. Naturalnie dochowało się niewiele sztuk, ale mamy u siebie, w celach dekoracyjnych, kilka, między innymi największy półmisek, olbrzyma z wgłębieniem na sos i ogromną wazę o polewie, trochę spękanej od gorących zup wlewanych do niej w ciągu paru pokoleń².*

– Nie wiedziałam, że w strzyżewickim dworze ocalało część zastawy – kontynuowała pani Ewa gładząc filiżankę zmarszczoną dłonią. – Przepraszam, za moją śmiałość, czy ja mogłabym się teraz napić z niej herbaty?

– Oczywiście – odrzekłam.

– Helenko, proszę podać herbatę – zwróciłam się do kobiety, która ubrana była w czarną sukienkę z białymi mankietami, kołnierzykiem, fartuszkim. Na głowie miała również biały czepek.

– Tak, proszę pani – Helenka nalała parującego bursztynowego płynu do filiżanek.

– Proszę mi dać chwilę – mówiła pani Ewa, – ale odżyły we mnie wspomnienia. *W 1944 roku 24 października wyjeżdżaliśmy ze Strzyżewic już ostatecznie, a raczej uciekaliśmy, choć pozornie tempo wyjazdu mogło wyglądać na zbyt powolne, aby go nazywać ucieczką. Chodziłam po domu i zbierałam jeszcze jakieś drobne rzeczy nadające się do zabrania. Na górze, gdzie już właściwie nic takiego nie było i nie wiem, po co tam poszłam, w balkonowym pokoju zbliżyłam się do oszklonych drzwi, przez cały czas świadoma atmosfery koło mnie, atmosfery martwej ciszy, pustki i nieomal fizycznej obecności kurzu na podłodze, meblach i w powietrzu, kurzu – tego symbolu ostatecznego opuszczenia i końca domu. Nie była to pora stosowna na wyglądanie oknem, ale patrzyłam na wysokie, stare topole nadwiślańskie, „sokory” – rosło ich kilka na granicy trawnika i szosy. Lubiałam je bardzo i bałam się o nie, bo kiedyś we śnie widziałam, jak padają pod naporem nie objawiającego się wprawdzie dostrzegalnie, lecz gwałtownego kataklizmu, właśnie w moją stronę, niosąc domowi i mnie zarazem całkowite unicestwienie³.*

Miły, ciepły nastój na chwilę przygasł. Odezwały się bolesne wspomnienia, a przy stole znów zapanowała cisza. Wiedziałam, że pani Ewa jej potrzebuje.

Po dłuższej chwili i otarciu łez moja rozmówczyni powiedziała:

– Przepraszam, to nie tak miało wyglądać... Bardzo cieszyłam się moja droga Małgorzato, na to dzisiejsze spotkanie. Widzę, że pięknie się postaraliście, i ten stół w wiosennej oprawie... tak pięknie wygląda... – powiedziała pani Ewa sięgając po filiżankę z herbatą.

Kolejne minuty upływały już w przyjemnej, radosnej atmosferze. Przy kolacji służba się uwijała serwując kolejne potrawy. Rozpoczęto od klarownego, złocistego i intensywnego w aromacie rosołu, który jak to na początku dwudziestego wieku przyrządzano na mięsie wołowym lub na wywarze z kuropatw czy gołębi. Następnie podano pieczone z sosem, ryby smażone na maśle oraz półmisek pieczonych kartofli. Na stole znalazły się też serki popstrzone kminkiem, miseczka z chrzanem, kiszzone ogórki zapewne wyłowione z beczki, marynowane grzyby i inne.

Po posiłku zasadniczym, gdzie mój gość próbując niektórych potraw, odrobinę - jak wróbelek, wspominał dawne smaki, przy mniejszym stole, pozwoliłyśmy sobie z panią Ewą na nalewkę z jeżyn oraz delektowałyśmy się deserami. Wśród słodkości podanych przez służbę była legumina, pączki z konfiturą z poziomek, świeży placek z twarogiem, suszone owoce, miód z chrupiącym pieczywem oraz pierniki, które dawniej w Strzyżewicach obowiązkowo podawano do wieczornej herbaty.

Gawędziłyśmy z panią Ewą o wielu sprawach, o tym jak wyglądał dawniej strzyżewicki dom i ogród, jak zapamiętała rodziców i siostrę Olę. Oczywiście odbyłyśmy przechadzkę po domu. Jednak podczas rozmów w „bibliotekojadalni” wzrok pani Ewy często kierował się w stronę regałów z książkami.

– No tak, literatura zawsze była jej bliska – pomyślałam.

Jako, że wiosna była wokół nas zwróciłam się z pytaniem:

– Pani Ewo, czy mogłaby mi pani opowiedzieć jak zapamiętała pani strzyżewicką wiosnę?

– Naturalnie. *Nie każdemu dane jest pamiętać i wspominać dziecięce upojenia związane ze zmianami pór roku. Upojenie pierwszym ciepłym dniem na wiosnę, kiedy wreszcie pozwolono biegać boso po wilgotnej, chłodnej jeszcze ziemi, upojenie majowym rozkwitem w lesie (...). W życiu domu ogromną atrakcją były każde święta i przygotowania do nich w kuchni, a przed świętami wielkie porządki, kiedy wystawiano meble na dwór do trzepania.*⁴

Przed domem pamiętam: *Duży okrągły gazon(...) usypany został szeroko. Murek, który go umacniał, na wprost ganku, z płaskimi schodkami po środku(...) W Wielką Sobotę przysiadły na nim kobiety i dzieci czworaczne z koszykami świątecznego jadła do święcenia. Zbliżanie się waszka wiozącego proboszcza oznajmiały krzykiem podniecone dzieciaki. Z koszyków zdejmowano czyste ściereczki, przycichały szepty, zamierały poruszenia i proboszcz odziany ciepło pod komżą, a więc pękaty*

*jak beczka, przechodził przed tym nieruchomym wieńcem, energicznie machając kropidłem. Potem dopiero świecił stół we dworze, przybrany widłakami z lasu i barwinkiem z naszych ogródków. Na Wielkanoc trawa na zagonie bywała jeszcze martwa, gdzieś tylko jaśniała wąż stokrotka i w tej przedwiosennej szarości kolorowe chustki kobiet i ich białe fartuchy odbijały wyraźną plamę, tym bardziej że w Wielką Sobotę zwykle świeciło słońce i wesołość była w powietrzu.*⁵

*Na wielkanocne odwiedziny rodzice wyruszali z nami wasągiem lub zgoła furą z uwagi na osiem kilometrów „polskiej” drogi od Strzyżewic do szosy w Niedrzwicy, a potem jeszcze odcinek okrutnego błota na urodzajnej strzeszkowickiej glebie, gdy skręcało się w bok z szosy do dworu obok wielkiej, pięknej stodoły. Widocznie w dojazdowej alei panowały wiosna jeszcze bardziej krytyczne warunki dla pojazdów. W te święta stół w jadalni, rozciągnięty do maksimum, mieścił nie efektowniejsze próbki, ale cały zasób świątecznego jadła, które w całości musiało być poświęcone przez księdza proboszcza: olbrzymie baby na czterech rogach, główizna, zwoje kielbasy, pieczone prosię z chrzanem w pysku, pisanki, mazurki – cygański i inne: wzorowy stół wielkanocny niczym z opisu Glogera.⁶ Zgodnie z tradycją ostatki mazurków i bab wielkanocnych musiały dotrzeć do Zielonych Świątek.*⁷

– A kwiaty, zapachy jakieś pani pamięta? – Spytałam i mocno się zawstydziłam, gdyż chyba nie do końca udało mi się ziewnąć niepostrzeżenie.

– Oczywiście – rzekła pani Ewa. *Pierwsze wiosenne kwiaty, zawilce, miodunki i kluczyki zakwitały w wąwozie naprzeciwko samotnego świerka (...) W maju największa obfitość przenosiła się na łąki – kaczeńce, firletki, smółki i niezapominajki, storczyki łąkowe.*⁸

*Kwintesencją maja na wsi – innego wtedy nie znalazłam – był zapach bzu i czeremchy, wieczorne rechotanie i kumkanie żab, majowe śpiewy pod wiejskimi figurami i krzyżami. (...)*⁹

– Różnorodność roślin zależną od miejsca i pory roku¹⁰ barwnie upamiętniła pani w książce „Dwunastu przyjaciół Muszki” napisanej w 1942 roku i adresowanej nie tylko dla młodych czytelników. Bardzo mi się ten pomysł podoba, szata graficzna też jest piękna, kolorowa...

– Moje dziecko... że tak zapytam... o czym ty mówisz? Moja książka *O dwunastu przyjaciółach Muszki* nie została wydrukowana (...) *Książce zarzucano przesadną fantastykę, która wówczas uważana była za coś, co przynosi więcej szkody niż pożytku...*¹¹

– Pani Ewo, przecież ta książka jest ogólnie dostępna, jest także w naszej bibliotece, zaraz podam, tylko sięgnę na półkę.

- Auuuu, jejku, co się dzieje – nagle za plecami usłyszałam męski głos.
- Czego ty szukasz na tych pustych ścianach???
- Szukam książki pani Ewy, pani Ewo ja zaraz ją znajdę, zaraz pani podam, ona jest naprawdę, ukazała się...
- Skoro tak mówisz, to pewnie się ukazała, ale na pewno nie na naszej ścianie i nie w naszej sypialni – powiedział mój mąż. – Po prostu otwórz oczy.

Otworzyłam je zatem. Usiadłam na łóżku. Spojrzałam na wprost. Przejrzałam się w lustrze, już nie miałam na sobie jasnej muślinowej sukni „w rzucik”, z falbanami przy trzywierzciowych rękawach, lecz... niebieską bawełnianą piżamę!

Pamięci Ewy Kołaczkowskiej, Jej ostatniego pobytu w Strzyżewicach i wyprawy doliną Bystrzycy w 1983 roku, z której powstał reportaż „Szlakiem wspomnień” wydany w Lublinie w 1996 roku, dzięki Strzyżewickiemu Towarzystwu Regionalnemu.

Ewa Kołaczkowska zmarła dwa lata później, w Warszawie, w wieku 75 lat.

Małgorzata Pruchnicka

Przystanek nr 2

na naszej *Literackiej mapie...* to Dworek Kajetana Koźmiana w Piotrowicach. I tu nasze działania zbiegły się z inicjatywą kulturalną mieszkańców Piotrowic realizowaną pod nazwą *Kajetan Koźmian – zapomniany poeta z Piotrowic*. Uczestnicy warsztatów literacko – regionalnych wzięli udział w prelekcji wygłoszonej przez p. Ferdynanda Rymarza. Pan Sędzia przybliżył nam twórczość i życie osobiste Kajetana i rodziny Koźmianów. Te, i samodzielnie wyszukane informacje wykorzystaliśmy podczas odrabiania pracy domowej. Powstały wiersze, opowiadania, a nawet japońskie haiku...

Temat był oczywiście do wyboru:

1. Kajetan Koźmian i Jego twórczość.
2. O czym szumią stare drzewa w parku Koźmiana?
3. Temat dowolny.

Dla ewent. przedszkolaków

Jak myślisz, kto mieszka w parku Koźmiana? – Praca plastyczna lub słowna z pomocą rodziców/rodzeństwa/dziadków...



Basia Kołodziejczyk, *Mieszkańcy parku Koźmiana*

Koźmianowym dziełem wzburzony Mickiewicz,
niby „tysiąc wierszy o sadzeniu grochu”
napisał K. Koźmian. Nieprawda to czysta.
Może trzeba czytać nieśpiesznie, po trochu?
Ech, mistrzu Adamie! Spuśćże Waś już z tonu,
i Koźmiana grochu nie czepiaj się więcej,
gryka jest u Ciebie, jak u Niego – biała...
wszak poezję pisze się nad wszystko – sercem...

Dorota Szczepańska



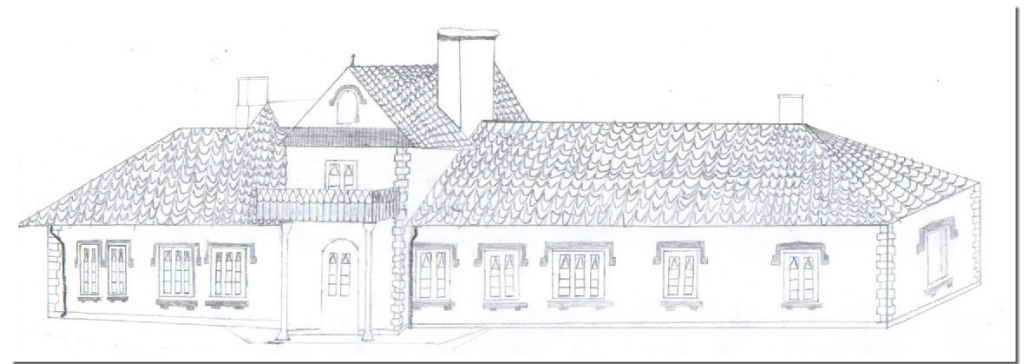
Zuzanna Rycak, *Wyśmiewanie z Grochu*

*U Mickiewicza „gryka jak śnieg biała”, u Koźmiana – „gryka, śnieżnemi woniejąca kwiaty”

O Kajetanie Koźmianie

Twój dworek u nas jest,
w nim wiersze pisałeś Ty.
Z rana śpiew ptaków,
potem błękitne niebo.
Przez nas doceniany,
choć dla wielu zapomniany.
Sosna i małe drzewka,
piękne *Ziemiaństwo*... napisane,
Pamiętniki też wydane.
Do dziś o Tobie słuchamy
I Cię bardzo doceniamy.

Maja Polak



Kacper Brzuskowski, *Dworek Kajetana Koźmiana w Piotrowicach*

Parkowe drzewa
Szumią dawną historią
- Kajetan Koźmian

***Haiku** – to forma literacka pochodząca z Japonii. W japońskich haiku są tylko trzy wersy. Wers pierwszy składa się z pięciu sylab, wers drugi liczy ich siedem, a wers trzeci znowu pięć. Oznacza to, że w wierszach haiku maksymalnie może być tylko siedemnaście wersów. Tak sztywne zasady konstrukcyjne wymuszają na poetach skondensowanie myśli.

Anna Kołodziejczyk



Anna Kołodziejczyk, Drzewa

Park Kajetana Koźmiana

Postanowiłam zatrzymać się na chwilę
w parku Koźmiana
w którym jest tak
magicznie
w którym podobno
o poecie z Piotrowic
szumią stare drzewa

delikatny wietrzyk
targał kosmyki mych włosów
i z każdą sekundą
przybierał na sile

gałęzie drzew się poruszały
i liście tańczyły na wietrze
a drzewa wciąż milczały
i zapytałam siebie
czy to wszystko było
tylko legendą?

skierowałam swoje kroki
w kierunku
wyjścia z parku
jeszcze na chwilę stanęłam
i westchnęłam zawiedziona
naprawdę myślałam przez chwilę
że w Piotrowicach mogłyby
zdarzyć się takie cuda

już moje myśli
biegły w zupełnie inną stronę

kiedy nagle
 gałąź dotknęła mojego ramienia
 a ja
 usłyszałam szept wielu drzew
 „przyjdź do nas jeszcze raz kiedyś
 a my z chęcią o Koźmianie Ci opowiemy
 dziś już prawie nikt nas nie słucha
 i każdy o poecie z Piotrowic zapomina
 jednak widzimy, że Ty jesteś inna”

wiatr gwałtownie ustał
 a liście wcześniej wirujące
 dzięki niemu
 delikatnie opadły na ziemię
 a ja dalej tam stoję
 i wciąż nie wiem
 czy to miało miejsce naprawdę
 czy tylko w mojej wyobraźni

Agata Zemszał



Natalia Golega, Szepty drzew

O czym szumią stare drzewa w parku Koźmiana?

„Myślę, że stare drzewa w parku Koźmiana szumią o tym, co dzieje się w sercach i umysłach osób spacerujących po piotrowickim parku...”

Panika

Panika powoduje, że pamięć ci zanika
 Nie pyta cię o zdanie
 Dopadnie i zostawi w okropnym stanie.
 Nie powie ci jak się pozbierać
 Opuści w panicznym stanie
 Żeby po chwili dopaść cię,
 gdy jesteś w lepszym stanie.
 Ciemność w twoim życiu nastanie,
 wtedy też przyjdzie na spotkanie.
 Stracisz swój oddech i skrzydła wolności
 żeby na chwilę znów żyć w radości

Klaudia Poleszak

Maska

Mówisz, że jest dobrze,
 a w twojej głowie ciągła walka.
 Życie to wcale nie jest bajka.
 Ciągły strach przed każdym dniem,
 co chwilę myśl żeby poddać się.
 Podróż bez celu.
 Czy możesz mi pomóc mój przyjacielu?
 Nikt nie zauważy tego, że uśmiech
 tylko przykrywa smutek na twarzy.

Czas wciąż ucieka.
Mimo to każdy z czymś zwleka.
Czekasz na szczęście lecz nie wiesz jak długo jeszcze.
Każde „ich” słowo dobija na nowo.
Nie chcesz już walczyć, chcesz chwili wytchnienia.
Przestajesz oddychać, ale znów zaczynasz się uśmiechać.

Klaudia Poleszak

Głos zagłuszonego szczęścia

Cichutki głosik w twojej głowie
prosi cię o walkę.
Jest on młodszą wersją ciebie,
przypomina ci o twych marzeniach,
o chwilach szczęścia które się zjawiały.
Załamuje się widząc totalną rozsypkę.
Nie rozumie dlaczego tak jest.
Po prostu pragnie żyć.
Nie mając już siły próbujesz go zagłuszyć,
lecz on zaczyna krzyczeć żebyś usłyszała.
Nie jest gotowy na ostateczny koniec,
ale ty wiesz, że nie potrafisz tak dłużej.
Nie dasz rady oddychać.
Dookoła tylko płomień i panika.
Kres twoich dni zbliża się jak lęk.
Dokładna data nie daje zapomnieć.
Plan wymyślony, list też zostawiony.
Nadejdzie ten dzień i minie twój cień...

Klaudia Poleszak

Zaginiony labirynt

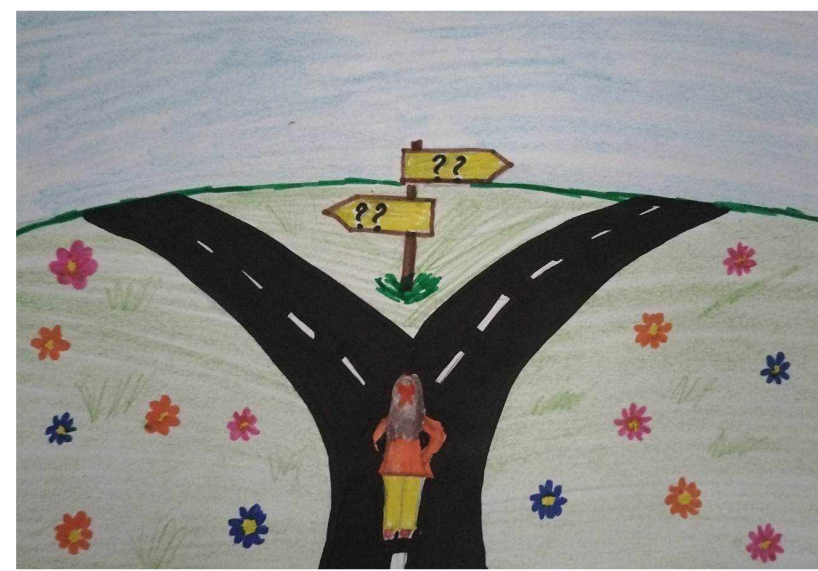
Zauważyłam, że powoli znikam,
kawałek po kawałku...

Aż pewnego dnia zupełnie zniknęłam.
Nie wiem na ile czasu,
nie wiem też gdzie jestem i kim jestem...

Droga powrotna brzmi jak labirynt
trwający i ciągnący się bez końca...

Dlatego może lepiej nie iść tamtędy.
Może lepiej iść dalej przed siebie,
gubiąc sens coraz bardziej...

Klaudia Poleszak



Natalia Golega, *Na rozdrożu*

Na karminowym garnuszk

Na karminowym garnuszk siedział sobie dlaming¹. Był to niewielki pisklak o pierzu tak różowym jak płatki kalii, dzióbek miał drobny, jasny i zgrabny, a ślepka czarne jak węgielki. Nazywał się Aldric. Stworek śpiewał radośnie podskakując z łapki na łapkę. Wtem garnuszek zadygotał. Dlaming zamilkł zdziwiony. Choć przeczyło to wszystkim możliwym zasadom, ze spodu garnuszka wyrósł ogromny muchomor o rozpięchłym kapeluszu, który rozwinął się nad nim, nie inaczej niż parasol. Nagle muchomor drgnął, jego trzon rozdarł się wpół i nim Aldric zdołał zrobić unik, grzyb rozwarł paszczę, ukazując rzędy kłów i połknął dlaminga w całości. Aldric zapiszczał ze strachu, zamykając oczy. A gdy otworzył je, zauważył, że otacza go, gęsty jak mleko mrok.

– Czy zginąłem? – Zapytał nieśmiało pisklak, a z ciemności wydobył się cichy szmer.

– Halo, jest tu ktoś?

– Nie – odpowiedział nerwowo głos z ciemności.

Aldric zmrużył oczy, by ujrzeć zarys niewyraźnej sylwetki.

– Dzień dobry Panie Cieniu! Wiesz gdzie jesteśmy?

Głos nie odpowiedział tym razem. Jednak Aldric nie chciał się tak szybko poddać, postanowił zbliżyć się do Pana Cienia i z nim porozmawiać. Może wiedział gdzie byli? Pisklak koniecznie musiał się tego dowiedzieć.

– Nie podchodź! – Zawył głos.

W ciemności rozniósł się dźwięk sunącego po ziemi przerośniętego cielska.

– Ale Panie Cieniu, chce tylko porozmawiać! – Pisnął Aldric radośnie. Im bliżej nieznanego sylwetki był, tym ta cofała się coraz bardziej. Pisklak zmrużył oczy i zastanawiał się, dlaczego Pan Cień przed nim uciekał?

– Panie Cieniu, zaczekaj!

– Proszę zostaw mnie! – Zapłakał cień, łamiącym się głosem.

Aldric nie rozumiał, dlaczego Pan Cień zachowywał się w ten sposób. Nieznajomy zawył po raz kolejny i zamilkł. W końcu udało się doczłapać pisklakowi do nieznanego stwora. Lekko dotknął jego cielska skrzydłem. Wtem ziemia nad nim skruszyła się. Aldric zauważył, że znajduje się w olbrzymiej jaskini. Niewielkie promienie słońca owiały całą sylwetkę Pana Cienia. Nareszcie udało się go dokładnie zobaczyć. Był on gigantycznym aligatorem pozbawionym łap, o trzech głowach, z foczym cielskiem pokrytym malachitową łuską. Stwór zawył, starając się ukryć wszystkie trzy łby. A Aldricowi, aż zaparło dech.

– Nie patrz na mnie – błagał trzygłowy aligator.

Aldric przekręcił ciekawsko łepkę.

– Dlaczego miałbym nie patrzeć, Panie Cieniu?

– Czyż to nie oczywiste? Jestem paskudny! – Znów zawył Pan Cień.

Pisklak przyjrzał się trzygłowemu aligatorowi ze zdziwieniem.

– Dlaczego myślisz, że jesteś paskudny, Panie Cieniu? Inny nie znaczy gorszy!

– Aldric pokiwał z pewnością głową, jakby dawał do zrozumienia, że z pewnością wie, co mówi.

Wszystkie trzy głowy aligatora spojrzały na niego ze zdziwieniem tak głębokim, jakby dowiedziały się właśnie, że w lipcu spadł śnieg. Pan Cień nie mógł nic odpowiedzieć, tylko spojrzał na pisklaka niepewnie i pokiwał wszystkimi trzema głowami, mamrocząc pod nosem.

Andrig powtórzył z jeszcze większą niż przed chwilą pewnością:

– Jesteś piękny, Panie Cieniu, nawet, jeśli wyglądasz trochę inaczej niż ja!

Nagle płaty ziemi opadły, błotniste palce otuliły pisklaka szczelnie i nim zdążyła minąć chwila, Aldric stał w lesie. Zewsząd otaczały go sięgające nieba drzewa. Zrobił kilka kroków do przodu i wtedy za niewielkim krzaczkiem ujrzał pochyłonego nad kłodą powalonego drzewa, stworka. Istotka przez gęstość futra i masowność przednich łap wydała mu się początkowo niegroźna. Dramatu nie dodawał jej delikatny pysk oznaczony kremowymi znaczeniami oraz gruby ogon, na pierwszy rzut oka całkiem twardy. Jednak, gdy pisklak zbliżył się wystarczająco, dostrzegł kwaśny grymas na wargach stwora i pochmurne nieco wściekle ślepie.

– A ty tu, po co? – Zapytał zajadle stwór, obrzucając Aldrica niechętnym spojrzeniem. – Jestem Aldric, a ty? – zrewanżował się pytaniem w końcu pisklak, dość świergotliwym głosem. – Nie pytałem, kim jesteś, tylko, po co się tu zjawiłeś. – Niegrzecznie charknął stwór. Ponownie odwrócił się plecami do Aldrica i zaczął uderzać ogonem w kłodę. Gdy natarczywe spojrzenie pisklaka zaczęło działać mu na nerwy, warknął na odczepne.

– Vaso jestem. A teraz spadaj stąd.

– Dlaczego miałbym stąd spadać, panie Vaso?

– Ponieważ ja tak chcę – odrzekł twardo.

– A dlaczego klepiesz ogonem w tę kłodę, panie Vaso?

Zniecierpliwiony Vaso wziął głęboki wdech nosem, przekręcając wściekle oczami. Aldric zupełnie nie wiedział, dlaczego Vaso tak reaguje. Przecież on tak się starał być miły. Stwór jednak wziął głębszy wdech i chodź jego głos przesycala wściekłość, odrzekł stanowczo:

– Klepie, ponieważ zbliża się przesilenie letnie, to ważna tradycja u nas czwurnuków², zawsze to robimy, przeważnie razem. Ale, po co ja ci to mówię, co ty tam możesz wiedzieć...

– Skoro to tradycja, dlaczego nie ma tu więcej czwurnuków? – Zapytał ciekawsko Aldric, podskakując w miejscu jak kauczukowa piłeczka.

– Ponieważ wszyscy uciekli – charknął zimno Vaso. – A ja nie mam zamiaru opuszczać tego miejsca. A teraz się wynoś.

- Dlaczego nie poszedłeś razem z nimi?

– Ponieważ to mój dom i nie mam zamiaru go opuszczać, nigdy.

Vaso wrócił do klepania ogonem w kłodę, nie odpowiadał już na pytania Aldrica. Pisklak nadal przyglądał mu się z zaciekawieniem. I choć miał mały ptasi mózdzek, niezbyt zresztą błyskotliwy, ustalił jedno, nie pozwoli sobie żyć przeszłością. Pisklak już otworzył dziób, by ponownie się odezwać, lecz nie było mu to w tej chwili dane, gdyż zawisł nad nim ogromny cień, a niedługo później został przygnieciony monstrualnym białym zajęcem, który wyrósł nagle z ziemi. Aldric zapiszczał próbując wyrwać się spod bladych kłaków, a gdy w końcu mu się to udało zauważył, że stoi na niewielkiej planecie, pełnej grządek porośniętych dorodną marchwią i jeszcze piękniejszymi rzodkiewkami. Długouchy otaczały go zewsząd obskakując cały glob, a wśród nich podskakiwał dziwny stwór o filigranowym, ale długim ciele pokrytym atramentową łuską, błękitnym porożu przypominającym nieco te młodego jelonka i gęsta szczecina stercząca niesforenie na czubku jego głowy oraz szyi. Pysk miał całkiem gadzi i błony między przednią łapą a korpusem, do tego ogon długi zakończony pędzelkiem. Dłaming doskoczył bliżej, wtedy on spojrzał na niego.

– Hej mały – przywitał się stwór.

– Dzień dobry – skinął głową pisklak. – Jestem Aldric, a ty?

– Nazywają mnie Yuko, jestem zajęcem.

– Zajęcem? – Aldric spojrzał na Yuko będąc w lekkim szoku.

– Jesteś pewien, panie Yuko? Nie wyglądasz jak zajęc...

– Jasne, że jestem. Tak musi być. Reszta zajęcy mi to powiedziała. A skoro tak mówią to musi być prawdą.

Yuko ominął Aldrica, dołączając do innych zajęcy. W tym czasie w głowie pisklaka odbyła się prawdziwa burza. Pan Yuko na pewno nie był zajęcem! Ale dlaczego w to wierzył? Wtedy Aldric obiecał sobie, że już nigdy nie pozwoli sobie wierzyć w coś, co nie jest prawdą, nawet, jeśli cały świat mówiłby, że jest inaczej. Warto jest używać własnego rozumu, nawet jeśli jest całkiem mały.

Kiedy Aldric rozmyślał, w ziemi pojawiły się błękitne drzwi. Podszedł do nich, a gdy już wyciągnął skrzydło, by je otworzyć, obudził się. Nie było już wielkiego muchomora, ani przestraszonego Pana Cienia, nawet Vasa i Yuko. A pisklak po przebytej w śnie podróży, poczuł się mądrzejszy.

Joanna Kuśmierz

Objaśnienia /zaczerpnięto z Wikipedii, dostęp na dzień 29 czerwca 2023/:

Dłaming¹- fikcyjne stworzenie, przypomina wróbla jednak z różowym pierzem. Dłamingi są strażnikami przejść i bram międzywymiarowych.

Czwurnuk²- kolejne fikcyjne stworzenie, tak jak dłamingi zamieszkuje fikcyjny świat nazywany Jaryloniem.

Kajetan Koźmian to nie tylko Piotrowice. To także Gałęzów, gdzie w jego dworcu na wzgórzu przez wiele lat mieściła się szkoła podstawowa i gdzie – przez lat kilkanaście – mieszkałam razem z rodzicami i siostrą. Uwielbiałam wędrowki po chaszczach i zaroślach, wspinanie się na drzewa. Doskonale pamiętam studnię, z której nabieraliśmy wodę, drewnianą stodołę, gdzie trzymaliśmy rowery i siano dla królików; pamiętam też wyprawy – zawsze obowiązkowo z latarką – do piwnicy u kowala po ziemniaki. Ta piwnica naprawdę była głęboka i zawsze, kiedy stamtąd wychodziłam, bałam się, że w ostatniej chwili czyjeś ręce mnie złapią i zamkną w niej na zawsze. Może dlatego wyobraźnia podpowiedziała mi właśnie taką historię...

Dorota Szczepańska

Droga, której nie widać

Stopnie schodów wyglądały na solidne, ale wystarczyło postawić stopę na pierwszym z nich, aby usłyszeć złowrogie skrzypienie, ostrzegające przed wejściem na strych. Spojrzała w górę: schodków było kilkanaście, wszystkie równie sfatygowane i wyślizgane – znak tego, że często i gęsto musiał tamtędy ktoś chodzić. Znajdująca się obok poręcz samym wyglądem skutecznie zniechęcała do skorzystania z niej. „Poręcz pro-forma” – pomyślała. Pomyśl, aby wejść na strych, pojawił się w jej głowie kilka dni temu. Wędrowki po pomieszczeniach opuszczonego dworcu nie przyniosły żadnych znaczących odkryć poza drzwiami, które – wykonane z takich samych desek i pomalowane identyczną jak ściana farbą - byłyby nie do znalezienia, gdyby nie obecność drucianego, prowizorycznego haczyka, przybitego jednym małym gwoździem do wąskiej deszczułki. TAM coś było i nie było innej możliwości, trzeba było znaleźć jakiś sposób, aby odkryć tę tajemnicę.

Ale strych był potem.

Na początku był park, przez który biegła ścieżka prowadząca wprost do stojącego na wzgórzu dworcu.

– Podobno mieszkał tu kiedyś jakiś sławny poeta? – dopytywała sąsiadów, ale nikt nic nie wiedział.

– Jaki tam poeta, bajki jakieś. Szkoła tu była, o panienka zobaczy, jeszcze tabliczka została – przechodzący obok młody chłopak wskazał palcem na wiszący na jednym gwoździu kawałek blachy, na którym można było odcyfrować litery „sz” a niżej „p” i „w”. – Pewnie napisane, że szkoła podstawowa w Gałęzowie – usług nie podpowiedział, a Klara kiwnęła głową.

– No nic, dziękuję panu, jeszcze się porozglądam, do widzenia.

– Tu nie ma nic do oglądania, ale jak tam panienka chce. Jakby coś trzeba było, to ja mieszkam tam, o – machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku – można przyjść zapytać. Co będę wiedział, to powiem.

– Dobrze, dziękuję – ucieszyła się Klara i chciała dodać, że to miło z jego strony, ale chłopak nie czekał na jej odpowiedź tylko odwrócił się i szybkim krokiem oddalił się w kierunku widocznych nieopodal zabudowań.

Dokoła było cicho. Gdyby nie ptasie trele i szczekanie gospodarskich psów, byłoby nawet zbyt cicho. Klara, przyzwyczajona do miejskich odgłosów, jak czarowana rozglądała się wokół nie wierząc, że znajduje się w takim miejscu, gdzie czas jakby się zatrzymał. Tu nie było słychać samochodów, klaksonów i syren, nie było asfaltu i betonu. Gdzie sięgnąć okiem – rozciągała się zieleń, a w powietrzu roiło się od rozmaitych owadów, które były jakby bardziej przyjazne niż w mieście, gdzie każde spotkanie z komarem czy muszką kończyło się bąblami, alergią i szukaniem ratunku w maściach i kremach, stosowanych po ukąszeniu.

Klara miała alergię na jad pszczoł i nie raz i nie dwa musiała prosić o pomoc w ambulatorium, kiedy użądlna noga czy ręka natychmiast puchła, a dziewczyna dostawał gorączki. Tutaj, choć groźnych dla niej owadów nie brakowało, czuła się bezpieczna, trochę jak w bajce, gdzie można rozmawiać ze zwierzętami i gdzie wiadomo, że tylko ci, którzy mają złe zamiary, ponoszą karę.

Tak rozmyślając ruszyła w stronę załomu domu. Minęła pozostałości schodów i resztki zaniedbanego żywopłotu. Ścieżka stał się prawie niewidoczna i niemal całkiem zginęła w wybujałej, dawno nie koszonej trawie. Z pełnego słońca nagle znalazła się w głębokim cieniu rzucanym przez okazały budynek i rozłożysty, rosnący nieopodal, wieloletni dąb. Okazało się, że z drugiej strony budynku było drugie wejście, które kiedyś pewnie zabezpieczone i solidne, dziś zupełnie bezbronne i opuszczone. Naprzeciwko dawnej szkoły stała drewniana stodoła, z trzema wejściami z przodu, a tuż obok niej – stał budynek gospodarczy, a przynajmniej na gospodarczy wyglądał.

Klara rozejrzała się wokół. Postanowiła sprawdzić, dokąd zawiedzie ją ścieżka, która ledwo widoczna, ale jednak biegła gdzieś dalej, wzdłuż murów szkoły. Idąc ostrożnie w głąb, dotarła do kolejnego, jeszcze potężniejszego dębu, którego najniższy konar rósł prawie poziomo, jakby wskazując kierunek, w którym należałoby się udać. Zaufała naturze. Dotarła do miejsca, gdzie dróżka rozwidlała się w trzech kierunkach – tam, skąd nadeszła, ku górze, od frontu budynku i w dół, gdzie ginęła w gęstych zaroślach i bardzo wysokiej trawie.

„No i gdzie teraz powinnam pójść?” – pomyślała, rozglądając się wokół, jakby szukając jakiejś wskazówki. Wszystko ją kusiło. Chciała wejść do dawnej szkoły, chciała zajrzeć do stodoły i do budynku gospodarczego. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie zdąży być wszędzie, bo powinna wrócić do domu przed zmierzchem.

– Pójdę z powrotem – powiedziała do siebie głośno. – Najpierw zajrzę do stodoły, tam mi nie zejdzie długo, a potem zajrzę do szkoły i zobaczymy, czy starczy czasu na resztę. Tak, to dobry plan – dodała, jakby chcąc się upewnić w decyzji.

Nad jej głową zaskrzeczała sroka. Klara podniosła głowę i zauważyła czarno-białą ogon ptaka w gałęziach potężnej lipy, ale jej uwagę zwrócił mały, prawie kwadratowy otwór w pniu drzewa. Poczula zimny pot na plecach. Pień był gruby, a gałęzie rosły zbyt wysoko, aby móc się po nich wspiąć. Zauważyła nieopodal kilka kamieni wapiennych. Wybrała dwa największe i spróbowała zrobić z nich jakby schodek. Udało się uchwycić brzeg otworu. „Przydała się siłownia” – pomyślała z satysfakcją. Sięgnęła w głąb. Jakiś niewielki, metalowy przedmiot. Spróbowała go wyjąć, szarpnęła raz i drugi... i razem z pudełkiem wylądowała na trawie pod drzewem. „Jednak nie umiem latać” – mruknęła, rozcierając obolałe ramię. Na szczęście, prócz guza na głowie i siniaków na rękę nic jej nie dolegało. Z pudełkiem w jednym ręku i plecakiem w drugiej wróciła na ścieżkę. Usiadła, opierając się plecami o drzewo, rosnące na rozstaju. W pudełku był rulonik papieru i kluczyk.

„Jeśli czytasz teraz te słowa, to znaczy, że jesteś niezwykle mądrym i dzielnym wędrowcem. Pamiętaj, że rzeczą właściwą mędrcom jest szukać klucza do drzwi, a nie drzwi do klucza. Ty klucz już masz. Pilnuj go jak oka w głowie, aby w najważniejszej chwili drzwi stanęły przed tobą otworem. Nie ufaj swojej sile, ale zaczerpnij z mądrości natury, aby natura przyszła ci z pomocą, gdy drogi przed sobą widzieć nie będziesz”.

– Tu siłownia się nie przyda – mruknęła do siebie, czytając słowa listu po raz drugi i trzeci. Powoli wstała i rozejrzała się. Klucz, razem z pudełkiem i listem, schowała do plecaka. Zrobiła krok do przodu.

– Zgubiła się panienka? – usłyszała – bo ja rozpytałem o tego poetę i miała panienka rację. – zza budynku wyłonił się spotkany wcześniej chłopak – moja babcia mówili, że podobno tu mieszkał jakiś jeden, kiedyś, i że Kajetan na niego wołali. Ona go nie знаła, ale że podobno pisał rymowane wiersze i kiedy umarł, to podobno we wsi czasem pojawia się niektórym i każe im iść za sobą, ale nikt jeszcze nie poszedł, tylko wszystkie uciekają, jak go zobaczą.

– A pan go widział? – zainteresowała się Klara, na chwilę zapominając o swoim znalezisku.

– A gdzie tam, ja nie, ale mój ojciec mówił, że raz mu się wydawało, że go spotkał i nawet poszedł za nim, ale go zgubił i mało nie zamarzł, bo upadł gdzieś i rano chłop jadący do miasta furmanką go znalazł leżącego przy drodze, a to było w marcu, to zimno jeszcze. Ojciec mówił jeszcze, że czasami w nocy to światło się pali na strychu tego domu, gdzie się ten poeta podobno urodził i słyszał jakieś głosy, jakby ktoś rozmawiał albo i czytał na głos. A panienka to czemu tu przyjechała, jeśli wolno spytać? – tu nikt dawno nie mieszka, szkoły też dawno już nie ma, zarosło wszystko. U nas we wsi gadają, że te ludzie, co tu mieszkali, to zostawiły skarb,

tylko nikt nie wie, gdzie on zakopany. Byli tacy, co szukali, ale przyjeżdżali raz i drugi, a potem przepadli jak kamień w wodę i słuch po nich zaginął. Ale panienki to by było szkoda, żeby się zgubiła, to może ja odprowadzę do drogi? Jedno tylko panience powiem: tam, za tą lipą, jest aleja grabowa, za którą jest droga, której stąd nie widać, a po drugiej stronie drogi była kiedyś kuźnia, przy której była piwnica. Nikt tam nie chodzi, ale ludzie gadają, że ci, co zginęli, to w tych piwnicach się zgubili i tam umarli. Teraz podobno wszystko już zasypane, ale są jedne drzwi, do których nie ma klucza. Podobno jak ktoś znajdzie klucz, to znak, że wszystkie zagadki wnet rozwiąże. Ale już ciemno, a ja panienkę zagaduję. To może ja odprowadzę do drogi i opowiem jeszcze o tych zagadkach?

Klara poczuła, że bardzo chce tu zostać. Miała klucz. A natura wskazała jej drogę, kiedy nie wiedziała, co dalej robić. Nie mogła stracić tej szansy.

Dorota Szczepańska

O czym szumią stare drzewa w parku Koźmiana?
Drzewa w starym parku Koźmiana szumią o... życiu!

Małgorzata Pruchnicka

Zapach siana i motyle w brzuchu

W tę grudniową noc gwiazdy jaśniej świeciły na niebie. Ela przechadzała się wąskimi alejkami zabytkowego parku Koźmiana. Niektóre alejki rozświetlał blask księżyca, inne doświetlone były niewysokimi lampami dającymi żółte, ciepłe światło. Grube, gęste konary starych drzew pokryły się warstwą mokrego, skrzącego się śniegu, a zamarznięte gałęzie trzaskały pod butami. Ela po całym dniu spędzonym na porządkowaniu mieszkania postanowiła dłużej pooddychać świeżym powietrzem, a nie zapachami specyfików używanych w łazience czy podczas szorowania niedopieczonych ostatnio kuchni. Oddychała głęboko, jakby chciała oczyścić płuca i cały organizm z zapachu substancji drażniących układ oddechowy. Z każdym głębszym oddechem, przypominała sobie wiersz, który kiedyś napisała, wsłuchując się w szum drzew. Było to wiosną na ławce w parku:

W parku Koźmiana

W starym parku Kajetana Koźmiana,
cudowna, błoga cisza panuje od rana.
Radosny śpiew ptaków tę ciszę umila,
obwieszczając, że wiosna i kwitnie tarnina.

Z fiołków, zawilców barwne dywany,
coraz dalej sięgają, bo park jest niemały.
Drzewa leciwe cieniują delikatną zasłonką,
coraz śmieiej wpuszczają do parku słońko.

Co godzinę spacerowiczów przybywa,
główna aleja jest teraz bardziej ruchliwa.
Wytchnienie w niej znajdzie mały i duży
gdy poczuje cudowną woń krzewu dzikiej róży.

Teraz nie słysząc kroków poety Koźmiana.
On swój park przemierza od nocy do rana.¹

Teraz wróciła do rzeczywistości. Wokół nie było fiołków czy róż, lecz wirujące w blaskach lamp płatki śniegu. Też urokliwie – pomyślała Ela. Cieszyła się na te nadchodzące wolne, świąteczne dni, a jednocześnie była zmęczona na samą myśl, co jeszcze musi zrobić. Dalej spacerując alejkami coraz bardziej przykrytymi białym puchem wspominała przygotowania i święta sprzed lat. Pamiętała jeden, delikatnie określając - nieciekawny zapach, kojarzący jej się zawsze z przedświątecznymi porządkami. Wtedy nie tylko jej mama, ale znaczna część gospodyń domowych, do czyszczenia kuchni czy łazienki używała głównie rozcieńczonego octu.

– Brrr ... wzdrygnęła się na samą myśl tego intensywnego zapachu. Nie wie-dzieć, czemu ta woń zestawiała jej się w pamięci z pięknym intensywnym aromatem siana, symbolizującym ubogi żłobek, w którym narodziło się Dzieciatko. Babcia, rdzenna mieszkanka wioski Bystrzycy, zawsze w Wigilię przynosiła wysuszone pachnące siano ze stodoły i kładła pod starym, wysłużonym, ale białym obrusem, na jeszcze bardziej starym i wysłużonym stole.

– Siano wyciągnięte spod spodu oddaje teraz w ciepłe cały swój zapach lata, traw, ziół – mawiała babcia i tego wszystkiego, co Ela określiłaby teraz sielskością. Pamiętała czas, kiedy babcia opowiadała jak to dawniej z siana nawet wróżono, za-wsze jednak po kolacji wigilijnej. Uczestnicy wieczerzy po kolei wyciągali żdźbła spod obrusa. Znaczenie żdźbła zależało od wróżącego, jeśli wróżyły panny: zielone

trawy oznaczały rychły ślub, pożółknięte – nieco późniejsze zamążpójście, a poczerńnięcie przekreślało szanse na bycie żoną. Jeśli wróżyli dorośli, często wyciągali trawy trzymane w rękach gospodarza: zielone źdźbło oznaczało żelazne zdrowie, z częścią kłosów – dostatek, a suche siano – posuchę, czyli niedostatek i różne choroby czy złe samopoczucie. I choć Ela kiedyś wyczytała w jakimś naukowym czasopiśmie o tym, że za przyjemny zapach siana odpowiada substancja o nazwie *kumaryna*, chemicznie *benzo – a – pirion*, jego charakterystyczny zapach przypisywała po prostu polskiej wsi. Prekursorem kumaryny, przypominała sobie dalej, był zresztą kwas – *orto – hydroksy – cis – cynamonowy* występujący między innymi w trawie żubrówce, koniczynej i marzance wonnej. Pamiętała też, że kumaryna ma działanie uspokajające oraz rozkurczowe i przeciwobrzękowe, temu pierwszemu przypisywała zalety sławionemu przez rodziców i dziadków spania na sianie.

Z naprzeciwwka dobiegały do Eli głosy rozmów mężczyzn przechadzających się po piotrowickim parku. Jeden z panów prowadził psa na smyczy. Ten rosły doberman, mijając Elżbietę, niestety głośno warknął, i skoczył na Elę, tak, że ta przestraszyła się ogromnie i poślizgnęła na ośnieżonej alejce. Upadła. Przez chwilę opanowała ją ciemność, ale wciąż słyszała głosy pochylonych nad nią starszych panów.

– Ela, Ela! Nic Ci się nie stało?! Ela, słyszysz?

– Słyszę – cicho szepnęła – głowa mnie boli, i plecy, cholera jak boli...

– Dasz radę wstać?

Per „ty” mówili do niej pochylający się nad nią starsi mężczyźni, którzy przecież jak większość piotrowiczian znali się doskonale.

Ela otworzyła oczy. Najpierw powoli usiadła i dostrzegła, że pan Krzysztof z psem, sprawcą całego zamieszania, nieco się oddalił, a pozostali panowie pomogli jej wstać. Uświadamiała sobie, co się przed chwilą wydarzyło, a jej myśli powędrowały w kierunku dużego psa i jego jeszcze większego pana. Nie była wielką miłośniczką zwierząt. To trzeba przyznać. Oczywiście martwiło i denerwowało ją bardzo, gdy słyszała o krzywdzie im wyrządzanej czy niewłaściwym traktowaniu. Na to nigdy jej zgody nie było. Po prostu je lubiła, ale jasno dawała do zrozumienia, że nie toleruje zwierzątek w małych mieszkaniach, spania w jednym łóżku, wylegiwania się na wspólnej kanapie, płatania się sierściuszków po kuchni... Nie potrafiła też zrozumieć jak ci, często określający się miłośnikami zwierząt, trzymają je w swoich małych, ciasnych blokowych mieszkaniach, często nieposiadających balkonów, z ciemną kuchnią, w której z trudem dostrzegali siebie, a ich pokoje były zastawione łózkami, biurkami, szafami tak, że duży pies nie miał nawet gdzie się obrócić. Pan Krzysztof do takich należał, mieszkał z żoną i trójką dzieci w dwu pokojowym mieszkaniu, jego duży pies, przez wiele godzin pozostawiony był sam sobie, bo rodzina wychodziła rano, wracała zmęczona późnym popołudniem lub wieczorem. Wtedy jedynie wystarczało im sił, by otworzyć drzwi wejściowe ulokowanego na drugim piętrze mieszkania i wypuścić Egona pod blok. Tam na zielonej trawce Egon załatwiał swoje potrzeby, no chyba, że nie zdążył nawet wybiec z bloku... A bywało

różnie: siusiał na wycieraczki współlokatorów, nosił między piętrami pozostawione na chwilę na klatce ubłocone buty, skutecznie uniemożliwiał pani Jadzi wejście przez bramkę na teren wspólnoty, warcząc na nią. Jakoś wzajemnie nie pałali do siebie sympatią. Pani Jadzia wołała koty, i Egon chyba tego nie mógł zdzierżyć...

Ale pies w obejściu domowym zdecydowanie Eli odpowiadał. Dbała o swojego podwórkowego zwierzaka, regularnie bywała z nim u weterynarza, chadzała na spacer, kupowała smakołyki – oczywiście bez szaleństw! Ocieplała budę, kiedy była taka potrzeba, ale do domu zwierzątek nie wpuszczała. Pomimo obszernego metrażu mówiła, że miejsce w swoim lokum, ma tylko na akwarium.

Oczywiście Ela nie mogła przemilczeć teraz części swoich spostrzeżeń i niczym KBKS serię pocisków, ona wyrzucała z siebie niekoniecznie kulturalne słowa dotyczące odpowiedniego zajmowania się swoimi zwierzętami. Panowie Tadek i Janek odprowadzili Elę do domu zlokalizowanego za koźmianowskim parkiem, gdzie właśnie na brukowym podjeździe zaparkował auto Marcin, mąż Eli. Wysłuchawszy tego, co się stało stwierdził, że należy udać się do lubelskiego szpitala, bo guz z tyłu głowy Eli był dość duży. Początkowo oczywiście Elżbieta marudziła, że Marcin dramatyzuje i jak zwykle przesadza, ale kiedy w trakcie jazdy dopadły ją nudności stwierdziła:

– Może to lepiej, że dałam się namówić. A w ogóle to nie używaj kawowych zapachów samochodowych, bo są po prostu wstrętne – wyartykułowała, co myśli i na chwilę delikatnie uchyliła szybę w aucie.

Żeby odwrócić uwagę od swego złego samopoczucia, natchniona dzisiejszym spacerem po zabytkowym parku Kajetana Koźmiana zajęła się układaniem w głowie strof poświęconych pocie:

Strofy o Koźmianie

Dokąd tak pędzi ten świat, czy zmierza w nieznane?

Czy zadajesz sobie czasem to pytanie, Drogi Kajetanie?

Twoje *Pamiętniki* gdzieś głęboko w bibliotekach schowane,
a *Ziemiaństwo*... nawet przez Piotrowiczian nieprzeczytane!

Związki z ziemią lubelską i zamojską opisane.

Przekłady łacińskiej poezji też miałeś publikowane.

Gości zacnych w swym dworze podejmowałeś,

choć wiele razy w życiu płakałeś.

Sięgnij, więc dziś Drogi Odbiorco utworu mojego,
do życiorysu i spuścizny Koźmiana zapomnianego.
Jesteśmy Mu to winni: My i Lubelszczyzna cała,
by Jego klasa i klasyka nie została zapomniana.²

– Trochę bez ładu i składu – pomyślała, ale mimo wszystko postanowiła je zapisać w notatniku smartfona.

Kiedy podjechali na parking lubelskiego szpitala, Ela pospiesznie opuściła samochód i po prostu zwymiotowała, co bardzo ją osłabiło. Powolnym krokiem pod rękę z panikującym Marcinem udała się na Izbę Przyjęć, stoczyła bój z portierem, który uznawał, że osłabiona pacjentka powinna skorzystać z wózka. Oczywiście wówczas odzyskała siły i po kilku słowach skierowanych do nocnego stróża już obydwój pieszo przemierzali szpitalny korytarz. Tam oczywiście przed wejściem do gabinetu należało odczekać swoje. Gdy lekarz uzyskał odpowiedź na pytanie: - co panią do mnie sprowadza? Obejrzał siniaki na plecach Eli i dokonał badania głowy. – Czy ma pani nudności, wymioty?

– Tak, mdli mnie i godzinę temu wymiotowałam – odpowiedziała Ela.

– No właśnie, tak myślałem – mruczał bardziej do siebie niż do pacjentki neurolog i klikając w komputerze odpowiednie rubryki zlecał wykonanie badań. W pierwszej kolejności Ela dostała się do *Zakładu diagnostyki obrazowej pod Gabinet tomografii komputerowej*. Wypełniała dokumenty, podpisywała zgody, dłużej zatrzymała się przy rubryce przeznaczonej dla kobiet. Na pytanie *Czy jest pani w ciąży?* Odruchowo zaznaczyła odpowiedź *nie*, ale kiedy przyszło jej podać datę ostatniej miesiączki już tak łatwo nie było. Robiło jej się zimno i gorąco na przemian. Marcin oczywiście asystował małżonce i był pewien, że to na skutek urazu głowy. Ela już jednak taka pewna nie była... Kiedy poproszoną ją do gabinetu i sprawdzono poprawność wypełnionych dokumentów, Ela nieśmiało zaczęła:

– Panie doktorze, bo ja nie jestem pewna z tą datą ostatniej miesiączki... nigdy one u mnie nie były regularne – tłumaczyła się - i tak sobie teraz myślę, a co jeśli... jeśli okaże się, że jestem w ciąży?

Gburowaty z pozoru diagnosta, jednak się uśmiechnął:

– Potrafi, spryciarz jeden – pomyślała Elżbieta i powiedział:

– To nieprawda, że badania radiologiczne są w ciąży absolutnie wykluczone. Przyszłe mamy mogą być bezpiecznie diagnozowane, a następnie z powodzeniem leczone. Wie pani, wokół badań z użyciem promieni rentgenowskich wykonywanych w ciąży narosło bardzo wiele mitów. Problem polegał na tym, że bardzo długo brak było jasnych, precyzyjnych informacji, jaka dawka promieniowania jest w ciąży bezpieczna. Dlatego wielu lekarzy odstępowało i nadal odstępuje od wykonywania u przyszłych mam badań radiologicznych istotnych dla zdrowia mat-

ki. Obecnie ustalono, jakie dawki są bezpieczne. Dlatego znany jest nam sposób postępowania w takich przypadkach. Powodem wykonania badania tego typu są np. podejrzenia zmian pourazowych tak jak w pani przypadku. Oddziaływanie promieniowania na płód zależy od kilku czynników: okresu ciąży, części ciała, na którą pada wiązka promieni RTG, rodzaju i jakości sprzętu wykorzystywanego w badaniach, ale przede wszystkim – od dawki zastosowanego promieniowania. W tych dwóch ostatnich kwestiach bardzo dużo się zmieniło w ostatnich latach. Po pierwsze, stosowane obecnie nowoczesne aparaty do badań radiologicznych są dużo precyzyjniejsze niż dawniej i emitują znacznie mniej promieni – wyjaśniał lekarz.

Współczesne aparaty cyfrowe umożliwiają uzyskanie lepszego obrazu przy ograniczeniu dawki promieniowania. Zmieniły się też normy uznawane za bezpieczne. Wiedząc, że podczas standardowego badania RTG dawka nie przekracza 1 miligreja, łatwo obliczyć, że nawet kilkakrotne badanie RTG – wykonywane w odstępach czasu – nie stanowi zagrożenia dla zdrowia i rozwoju dziecka żyjącego w macicy. To bardzo ważna informacja dla kobiet, które wymagają takiej diagnostyki, a wskazań do badań radiologicznych jest sporo. Oczywiście wykonanie takiego badania zawsze jest decyzją lekarza, który wystawia na nie skierowanie, biorąc pod uwagę stan pacjentki, czyli ciążę. Przede wszystkim ocenia, czy badanie w tej sytuacji jest na pewno niezbędne. Decyduje również, czy należy je wykonać bezzwłocznie, czyli jak najszybciej, czy też można z nim poczekać do końca pierwszego trymestru. W momencie zgłoszenia się na badanie przyszła mama musi koniecznie powiadomić osobę obsługującą aparat o tym, że jest w ciąży. Dzięki temu pracownik może zminimalizować skutki wywołane promieniowaniem jonizującym – poprzez zastosowanie najmniejszej możliwej dawki, skrócenie czasu przebywania w polu promieniowania, zwiększenie odległości pacjentki od źródła promieniowania i zastosowanie grubszej osłony na brzuch i miednicę. Tak zrobimy zapobiegawczo w pani przypadku. Dawki promieniowania, na jakie narażony jest płód podczas badania TK głowy wykonywanego u przyszłej mamy to maksymalnie jedna dziesiąta miligreja. Dawka uznawana za bezpieczną dla płodu to 100–150. Oczywiście pani decyduje, ale w pani przypadku rozsądniej byłoby wykonać badanie. Jeśli pani chce, poproszę lekarza z Izby Przyjęć, aby wystawił również skierowanie na badanie poziomu HCG, czyli gonadotropiny kosmówkowej, która jest wykrywalna we wczesnej ciąży.

– Dobrze, w takim razie poproszę i proszę mi wykonać już to badanie. W oczekiwaniu na wynik badania TK głowy Ela udała się z mężem do Punktu Pobrań – mąż dzielnie przemierzał szpitalne korytarze prowadząc tym razem już wózek z zamyśloną Elą. Myślał, że żona przejmując się urazem głowy. Ela jednak nie chciała zbyt wcześnie dawać nadziei Marcinowi. Tyle razy już to przerabiali. Tym razem poczeka, aż będzie miała pewność. Druga godzina oczekiwania na wyniki dłużyła się, jakby nigdy nie miała się skończyć. Marcin wyszedł do toalety, kiedy właśnie pielęgniarka poprosiła do gabinetu Elę. Neurolog wytłumaczył pacjentce, że w badaniu głowy nie stwierdzono żadnych istotnych zmian, ale:

– Ze względu na pani stan zostawimy panią na obserwacji.

– Mój stan... – powiedziała Ela – panie doktorze czy to chodzi o te nudności i wymioty? – Nie tylko - odpowiedział lekarz – po telefonie od diagnosty obrazowego – zleciłem wykonanie badania poziomu HCG, które potwierdziło ciążę i to już nie taką wczesną – z uśmiechem dodał lekarz, ale o tym wypowie się ginekolog – położnik. Zlecam konsultację.

Eli zakreśliło się w głowie. Dobrze, że siedziała na wózku. Ten portier miał rację – pomyślała. Choć już sama nie wiedziała czy to z upadku, szoku czy nadmiaru szczęścia, które ją właśnie opanowało. Pielęgniarka podała Eli kubek z wodą i na jej prośbę wyprowadziła ją na korytarz do oczekującego męża.

– I co? I jak kochanie? Wszystko w porządku? – Dopytywał zniecierpliwiony Marcin.

– Muszę zostać na obserwacji – ze łzami w oczach odpowiedziała Ela.

– Jak to... czy badanie... czy wynik... czy to coś poważnego? – Dukał Marcin.

– Chyba poważnego... muszę zostać na *Oddziale patologii ciąży*.

– Patologii, czego??? U nas nie ma żadnej patologii...

– Marcin! Patologii ciąży... jestem w ciąży, będziemy mieli dziecko!

– Dziecko? – Dopytywał zdziwiony.

– Tak, dziecko. To taka mała istotka. Ma rączki i nóżki... – Ela nie zdążyła dopowiedzieć, co jeszcze ma mała istotka, bo Marcin właśnie musiał przysiąść na ławce i obetrzeć pot z czoła. – Uda się, teraz na pewno się uda – po chwili ucałował żonę, nie ukrywając łez wzruszenia.

– O czym szumią stare drzewa w parku Koźmiana?

– Chyba już wspominałam, że o życiu. O nowym życiu!

Małgorzata Pruchnicka

Przypisy:

W parku Koźmiana – Małgorzata Pruchnicka, utwór własny ukończony w maju 2023

Strofy o Koźmianie – Małgorzata Pruchnicka, utwór własny napisany w maju 2023

Przystanek nr 3

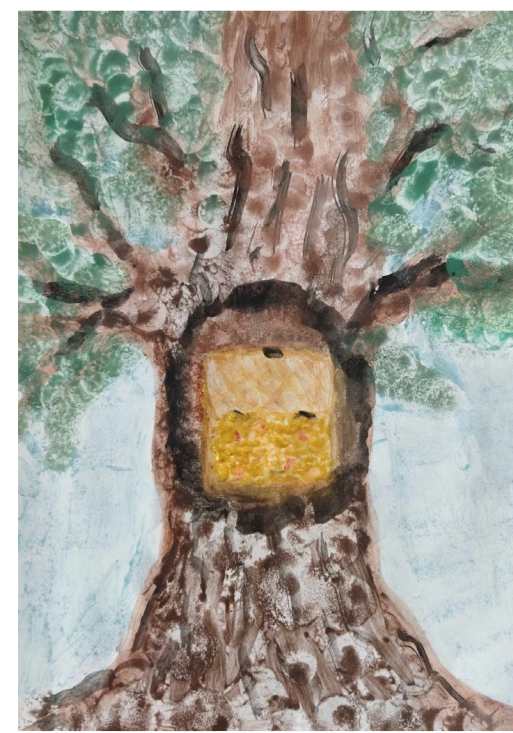
Kolejne spotkanie poświęcone było Pszczelej Woli i rodzinie Rohlandów, o których opowiedziała nam nauczycielka, ze Szkoły Podstawowej w Żabiej Woli, p. Halina Brygoła. Podczas warsztatowej części literackiej tradycyjnie zagraliśmy w skojarzenia dotyczące dzisiejszego tematu, pasujące do naszego hasła BIBLIOTEKA, i być może ułatwiające nam odrobienie pracy domowej. Następnie przyszedł czas na WOREK LITER: każdy uczestnik spotkania wylosował kartkę z trzema literami. Od wyrazów zaczynających się na te litery powinna rozpocząć się nasza praca domowa lub jakieś kolejne zdanie w tekście pracy domowej. Tematy (do wyboru):

Spacer aleją lipową.

Rohlandowie.

Temat dowolny.

Warto dodać, że jeśli Ktoś nie mógł wziąć udziału w spotkaniu, mógł samodzielnie zgłębiać temat korzystając z zasobów choćby Gminnej Biblioteki Publicznej im. Ewy Kołaczekowskiej w Strzyżewicach, a swoją pracę podpisać i przesłać na adres mailowy biblioteki lub koordynatora.



Basia Kołodziejczyk, *Skarb ukryty w starej lipie*

Spacer lipową aleją

W Pszczeliej Woli,
w pobliżu dworku Rohlandów
znajduje się aleja lipowa.
Gdy wybierzesz się nią na spacer
może drzewa o Rohlandzie Ci opowiedzą?
O mężnym Franciszku
który w powstaniu listopadowym walczył
i w boju był nie do pokonania?

A może lipy będą milczały?
I nawet słowa Ci nie szepną
o jego życiu?
Tylko swoimi liśćmi
wskażą Ci dworek,
gdzie tyle tajemnic się kryje?

Zadając tylko pytania
i nie szukając odpowiedzi
nigdy się nie dowiesz...
Odwiedź Pszczelą Wolę
i sam się przekonaj.

Agata Zemszał

Samotność

Siedzę sama w pokoju.
Patrzę w ścianę paląc niezgrabnie.
Mijają sekundy, minuty, godziny...
Czuje się nadal samotna,
ale czym się martwię? To nic nowego.
Znajome uczucie przecież odwiedza mnie co chwilę
i w myślach krzyczę - pomóż mi, proszę.
Lecz nikt tego nigdy nie usłyszy.
Zakładam maskę, wychodząc do innych,
ale wciąż czuję samotność.
Dlaczego?

Klaudia Poleszak

Wspomnienia

Kiedy zostaną już tylko wspomnienia
nie martw się o mnie.
Nie płacz też w chwilach gdy nie stanę przy Tobie.
Zawsze gdzieś będę.
Może na łące spokojnej i cichej?
Albo w płomieniach palących mnie żywcem?
Świat się nie skończy. Po prostu będzie ciszej...
Bez tego błękitu rzucanego przez oczy,
bez każdej nieprzespanej nocy,
bez śmiechu i złości...
Może też zabraknie im mojej czułości?
W drewnianej skrzynce uśmiechnę się lekko,
a moja dusza wyszepta Ci wszystko...
Ucieknie w pośpiechu, by nie czuć już świata.
To będzie tylko mała strata...

Klaudia Poleszak



Natalia Golega, Wspomnienia

Aleja lipowa

Gdzieś na skraju wiejskiego krajobrazu,
wznosi się aleja lipowa, jak rząd zielonych strażników.
Ich korony splatają się w jedno harmonijne arcydzieło,
tworząc tunel ciszy, gdzie czas z wolna płynie.

Aleja lipowa, jak długa brama do krainy marzeń,
Wita Rohlandów cieniem i chłodem, jak tajemniczy obłok.
Kroki naśladują echa, a szelest liści jest jak muzyka.

Alejo lipowa! Twoje piękno jest wieczne,
twoje korony strzegą tajemnic, które kryjesz.
Przechodzący przez ciebie, zapewne czuli spokój i magię,
a w sercu nosili wspomnienia, jak cenny skarb nieśmiertelny.

Anna Kołodziejczyk

Stare dobre wino w tę zimną noc
Zimną jak kamień
Smakowało jak usta Twoje każdego ranka
Pamiętam oczy Twoje niczym błyszczące gwiazdy
Odbijały blask w tafli jeziora
Czekałam na Ciebie całe lata
Gdy usłyszałam Twój głos
Zrozumiałam, że miłości mi brak
Odszedłeś po cichu
Teraz oboje idziemy przez ciemność ale innymi drogami
Został tylko w kieszeni kamień

Natalia Golega

Śmietnik, czyli o tym jak trudno pisać rzeczywistość.



Najpierw był chaos. Potem jak nagły grom nadeszło oczyszczenie. Otaczały go drzewa, sięgające wysoko nad jego głowę. Był tam sam i nie pamiętał, dlaczego. Tego dnia słońce wydawało się cieplejsze niż zazwyczaj. Wszakże nie był niczym więcej niż starą notatką w nadgryzionym przez mole pamiętniku. Młoda kobieta westchnęła, z frustracją chowając rumianą twarz w załamane ręce. W palcach przerzucała wieczne pióro, barwiąc wnętrze dłoni kruczocarnym tuszem. Prychnęła z irytacją.

Pięć godzin, tyle czasu minęło od momentu, gdy usiadła w cieniu leciwego drzewa. Wiatr nieprzyjemnie szarpał jej długie kasztanowe włosy, sprawiając, że wyglądała jak mara ze starych słowiańskich legend. Od zawsze uwielbiała pisać, tworzyć fantastyczne historie, których sama chciałaby zostać bohaterką. Problem pojawiał się, gdy miała sięgnąć po realizm. O ile tworzenie dziecięcych bajek, jak to lubili dorośli nazywać, szło jej z wręcz dzieciną łatwością, a w otaczającej ją rzeczywistości nie mogła znaleźć niczego godnego zapisania.

Może była zbyt infantylna? Nie wykluczała. Choć zazwyczaj uważała tę cechę za jedną z jej niezaprzeczalnie najwartościowszych zalet, teraz jej szczerze nie znosiła. O czym miała pisać? O kwiatach? Kto chciałby czytać o kwiatach?

Z frustracją wpatrywała się w wieczne pióro zawieszane w bezruchu nad przyżółkłą kartką. Kap, kap... Tusz powolnie zsuwał się ze skuwki, tworząc rozpraszające kleksy. Tym razem postanowiła odpuścić.

Następnego dnia - choć mógł być on jednocześnie godziną lub tygodniem, miała trudności z określeniem minionego czasu - ponownie zajęła stare miejsce z notatnikiem otwartym na kolanach i tym razem różowym cienkopisem w lewej dłoni, choć jak dotąd przypuszczała, była praworęczna. Nie wiedząc czemu, alejka, w której wcześniej przebywała stała się sześciokątnym pomieszczeniem zachowanym w beżach, podłogę zajmowała poducha wypchana grochem, o wręcz nienaturalnej wielkości. Pomieszczenie wydawało się puste, a jednocześnie przepełnione. Z każdym mrugnięciem miała wrażenie, że to, co zobaczyła, rozmyło się i zniknęło na dobre. Jak miraże.

Podrapane drzwi, zrobione z drewna, trzymały się w barbarzyński sposób, na starych zardzewiałych zawiasach. Wtem dziurką od klucza, precyzyjnie się wiewiórka wielkości dorosłego maine coona¹. Wtedy kobieta zdała sobie sprawę z tego, że stawała się mniejsza i mniejsza, do momentu, gdy otwór we wrotach mógł ją pomieścić. I co dalej?

Dziewczyna westchnęła. Skreśliła poprzedni akapit, zdając sobie sprawę z tego, że znowu minęła się z realizmem. Przecież w rzeczywistości wiewiórki wielkości maine coona nie istniały, a tym bardziej nie mogły precyzyjnie się maleńką dziurką od klucza.

Wróciła do sześciokątnego pomieszczenia wypełnionego wszystkim i niczym. Myślała tylko o jednym. Najwyższy czas dorosnąć. Ponownie spojrzała na pokreślona kartkę i temat, od którego wszystko się zaczęło – spacer Aleją Rolandów.

Nie tym razem – pomyślała, a opór zalał ją jak szalejąca fala. Napiszę opowiadanie w pełni realistyczne, choć miałyby skończyć się z fabułą nudną jak flaki z olejem lub całkowicie bez niej. W końcu inaczej nie potrafiła. Ale najpierw zje słodkiego ananasa.

Joanna Kuśmierz,

która na spacer aleją Rohlandów jakoś nie miała ochoty;)

Objaśnienia:

Maine Coon¹- rasa kota, jeden z największych kotów domowych.

Lipny spacer

– Znowu spacer? – Franek skrzywił się niemiłosiernie, jakby zjadł cytrynę – nie możemy posiedzieć w domu?

– Ależ synku – głos pani Kowalikowej był cichy i ciepły, ale Franek wiedział, że „synek” nie zwiastuje niczego dobrego – spacer to czyste powietrze, drzewa, ptaki, ruch – samo zdrowie.

– Jasne, przyjąłem.

Franek wiedział, że jakikolwiek sprzeciw nie ma sensu. Trzeba pójść i mieć to z głowy. Zrezygowany zagwizdał na psa Morusa, który natychmiast przybiegł gotowy do spaceru.

– Skąd ty masz tyle energii, co? – rzucił pytanie w stronę zwierzaka, który nie czekając na chłopca rzucił się do drzwi wejściowych. – Morus, stój! Czekaj, waruj czy co tam się mówi. Nie skacz na drzwi, już idę, idę.

„No, w końcu! Dziwny jest ten mój człowiek. Taka pogoda, słońce, milion zapachów, a ten tylko leży i gapi się w to małe pudełko, które wydaje jakieś dźwięki. Jakby jeszcze leżał normalnie, jak każdy porządny pies, na podłodze, ale gdzie tam. Po co wchodzi na kanapę, skoro jest gorąco, a to miękkie na wierzchu dodatkowo grzeje? Dobrze, że mnie wziął ze sobą, duszę się w mieszkaniu. Mówił dzisiaj do tego większego człowieka, że chce pojechać z kolegami nad morze. Mam nadzieję, że weźmie mnie ze sobą. Lubię każdą wodę, byle nie w wannie, bo wtedy strasznie brzydko pachnę jakimiś kwiatkami i zawsze muszę się porządnie wytarzać, żeby mnie Kapitan z sąsiedztwa nie wyśmiał. Lubię Kapitana, chociaż jest większy ode mnie i strasznie się popisuje przed dziewczynami ze schroniska, ale zawsze mnie broni przed Znajdą, tym wielkim wilczurem z naprzeciwka”.

- Morus, gdzie tak leczysz, czekaj!

„No, człowiek, dawaj, goń mnie!”

Franek po kilkudziesięciu metrach przystanął. Bieganie w 30 stopniowym upale, w dżinsach i bez kaszketu nie było najszcześniejszym pomysłem. „Lipny pomysł z tym spacerem aleją lipową” – pomyślał i przysiadł pod drzewem w cieniu, bo wiedział, że Morus się zmęczy i sam wróci do niego. Tak rzeczywiście się stało. Zziębnięty, z wywieszonym jęzorem, ale szczęśliwy, przypadł do nóg swojego czło-

wieka. Nawet zasnął, ale kiedy się przebudził, człowieka nie było. Natychmiast zerwał się na równe nogi ruszył na poszukiwanie swojego pana.

„Ej, człowiek, gdzie jesteś? To nie jest śmieszne. To miał być spacer, a nie zabawa w chowanego. Coś czuję... o, mam cię!”

Franek leżał zapłakany na ziemi. Z rozbitego kolana sączyła się krew, a ułamana gałąź drzewa świadczyła o nieudanej próbie wspinaczki. Chłopak próbował wstać, ale nie był w stanie utrzymać się na jednej nodze, więc usiadł z powrotem na ziemi.

„O, psia kostka, czuję kłopoty. Jak człowiek siedzi na ziemi, to znaczy, że nie może chodzić. Niedobrze. Zupełnie źle. Co ja mam zrobić. No i to czerwone na ziemi, kapie z jego kolana, kiepsko”.

Morus przestał obwąchiwać Franka i lizać go po twarzy i nagle gdzieś pobiegł. Chłopak wołał psa, ale bez skutku. Jak na złość, nikt wtedy nie przechodził, a samochody jechały ulicą zbyt szybko, aby kierowcy mogli zauważyć, że ktoś na poboczu potrzebuje pomocy. Franek położył się na trawie i zapłakany zasnął.

„No chodź, mówię ci, no! Nie chcę się bawić, chodź za mną, mamocha człowieka. Nie musisz krzyczeć, nie jestem głuchy! Nie chcę cię ugryźć, chcę, żebyś poszła ze mną! A mówią, że to mnie trzeba tresować. No, w końcu. Chodź, nie ma czasu. Twoje młode jest w niebezpieczeństwie”.

– Synku?

– Mamoch? Skąd... jak mnie znalazłaś?

Noga Franka na szczęście była tylko mocno stłuczona i wystarczyło kilka dni, żeby chłopak doszedł do siebie. Morus stał się bohaterem domu, dostał nowe legowisko i nowe smaczki, a wszyscy go głaskali i chwalili. Franek spędzał ze swoim psem każdą wolną chwilę i już nigdy nie narzekał, że musi iść z nim na spacer. Za każdym razem, gdy przechodził obok feralnego drzewa, przypominał sobie, co przeżył i cieszył się, że ma takiego przyjaciela jak pies Morus.

Dorota Szczepańska

Spacer Aleją Rohlandów

Maj w przyrodzie rozgościł się na dobre. Drzewa i krzewy zieleniły się bardziej niż zwykle. A może tylko mi się tak wydawało? Ptaki świergotały niezwykle radośnie, a słońce nawet teraz – późnym popołudniem świeciło bardzo mocno. Odpowiednio, by naładować energią, tracące moc – wewnętrzne akumulatory. Sięgnęłam, więc po niezbyt ciemne okulary i przywołałam psa. Ściągając nieco bardziej smycz, pogłaskałam radosną Kami i niespiesznym krokiem udałyśmy się na spacer. Tradycyjnie, merdając radośnie ogonem, Kami prowadziła mnie, a nie ja – ją. Rozmyślając o tym, że po powrocie czeka mnie dziś jeszcze sporo nauki podążałam w kierunku alei Rohlandów. Jest to lipowa aleja, już wiele lat temu uznana za pomnik przyrody. Swą nazwę zawdzięcza dawnym właścicielom majątku – Rohlandom. Zastanawiałam się czy dzisiaj też spotkam mojego rozmówcę, który również często tą urokliwą aleją spacerował ze swoim psem. Podczas wspólnych spacerów często wymienialiśmy się informacjami. Ja, jako napływowa, jeszcze „nowa” miłośniczka regionu, a także lokalnej poezji i prozy często opowiadałam panu Alojzemu, czego dowiedziałam się o regionie, jaki wiersz lokalnego poety mnie urzekł albo, jakie nowości wydawnicze niebawem wejdą na rynek. Miałam informacje bieżące, bowiem codziennie serfowałam po sieci.

Lubiłam te nasze rozmowy. Pan Alojzy był niezwykle ciekawym człowiekiem. Interesował się dniem dzisiejszym, ale i przeszłością. Dużo czytał. Dzień zaczynała od przeglądu prasy, w którą zaopatrywali go bliscy, bo pan Alojzy miał jedną zasadę: nie korzystał z Internetu. Mówił, że nowoczesność jest dla „młodziaków”, a on sam do tych technologii nie ma już głowy. Wolał czytać tradycyjne gazety czy książki, bo żartobliwie mawiał: *zapach farby drukarskiej trzyma mnie przy życiu, a szelest kartek powoduje, że żona przypomina sobie mój młodzieńczy błysk w oku*. I puszczał podobno do małżonki urocze oczko, czasem dodatkowo posyłając całusa.

Podczas spacerów, na które się nigdy nie umawialiśmy, ale jak to w niewielkich miejscowościach bywa, często na siebie trafialiśmy, pan Alojzy przybliżał mi historie regionu. Jako osoba „nowa na wsi” niewiele wiedziałam o gminie Strzyżewice. Zresztą, to od mojego rozmówcy dowiedziałam się, że gmina Strzyżewice do roku, 1973 jeśli dobrze pamiętam, gminą Piotrowice była.

Także w Pszczelej Woli nastąpiły zmiany w nazewnictwie. Poprzednia nazwa majątku to Żabia Wola. Nazwa została zmieniona jeszcze wcześniej, bo w 1946 roku. Z rozmów z panem Alojzym pamiętam, że użytkowane obecnie przez Zespół Szkół Rolniczych Centrum Kształcenia Zawodowego obiekty, należały dawniej do rodziny Rohlandów. *Dwór wybudował w 1852 r. generał wojska Królestwa Polskiego Franciszek Rohland. Ostatnia właścicielka – Helena Rohlandowa – opuściła go w lipcu 1944. (...) W miejscowości istnieje także stary kurhan, wznoszący się nad pradoliną Bystrzycy. Pochodzi z połowy XVII wieku, mieści w sobie, co*

najmniej setki ludzkich szkieletów – ofiar bitwy lub epidemii.(...) Inne zabytkowe budowle w Pszczelej Woli są dobrze utrzymane: oficyna dworska mieści w jednej części sklep spożywczy, stajnia cugowa zamieniona została na stolarnię, dworska lodownia jest w miarę potrzeby konserwowana. Stara aleja lipowa nosząca nazwę „Alei Rohlandów” jest pomnikiem przyrody¹.

To dzięki tym rozmowom, zachęcona do poznawania „mojej małej, nowej ojczyzny” odwiedziłam Gminną Bibliotekę Publiczną im. Ewy Kołaczekowskiej w Strzyżewicach i oprócz powieści obyczajowych, wypożyczyłam ciekawą książeczkę pod tytułem „Generał Franciszek Rohland i jego potomkowie”. Autorem tej pozycji wydanej w 1996 roku przez Strzyżewickie Towarzystwo Regionalne jest pan Leon Karłowicz. Autor tak opiewa tę zabytkową aleję: *Ocalała (...) piękna aleja lipowa, pomnik przyrody, jedyny tego rodzaju obiekt w tutejszej gminie. Szumi dostojnie nad głowami pszczelowolan dawny park, dość mocno przetrzebiony przez letnie huragany, a po trosze i przez szkołę, która w początkach swego istnienia, potrzebując miejsca na boiska sportowe i inne obiekty, budowała je w miejscach dogodnych, mało zadrzewionych, ale nie obeszło się i bez szkody dla parku, gdy górę brały bardzo osobiste cele lub uduchowione ambicje.*²

Lubiłam spacerować tą aleją. Dawała schronienie w słoneczny dzień, w deszczowy dzień, w nerwowy dzień. Ha! W ten ostatni to nawet dawała ukojenie! Bo jak nie ukoić nerwów, kiedy na ławeczce w cieniu, pan Alojzy podsuwa mi przed oczy skromny zbiorek: *Gmina Strzyżewice – Miodowy Zakątek. Wybór wierszy i prozy*, czytam:

Leon Karłowicz *Przed zachodem*

*Lubię w otwartym siąść oknie,
gdy słońca złociste zorze
rozściela dywan złocisty
na pszczelowolskim ugorze.*

*Cisza się robi wokół,
tylko głos pieśni z daleka
rozlega się echem w parku
i słońca zachodem lśni rzeka.*

*A mały słowiczek w ogródku,
przed starym internatem,
w gałąź czeremchy spowity
cieszy się życiem i światem.*³

I jak nie cieszyć się życiem i światem, kiedy właśnie słyszysz śpiew pszczelowolskiego słowika? – Myślę.

No i stało się, śmieje się głośno do pana Alojzego:

– Dzień dobry. Przyciągnęłam pana myślami. Właśnie wspominałam, jak na tej ławeczce w ubiegłe wakacje czytaliśmy czyjeś wiersze... – przerwałam szukając w pamięci nazwiska autora *Przed zachodem*.

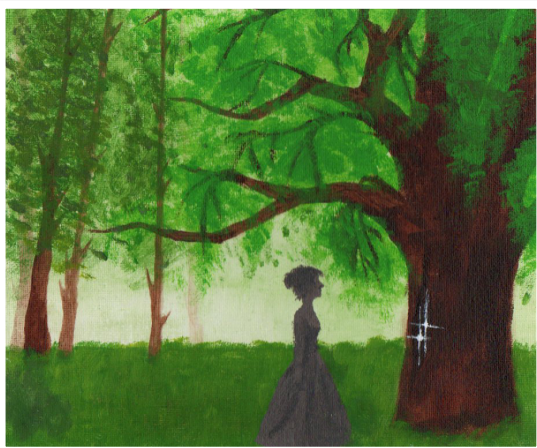
– Mariańskiego! – Odpowiada pan Alojzy.

– Mariańskiego?! – Dziwię się mocno. – Nie. Leona Karłowicza – odpowiadam już ze stuprocentową pewnością, bo właśnie na szczęście otworzyła się właściwa szufladka w mojej głowie.

– Czyli Leona Mariańskiego! – Znów upiera się pan Alojzy. – Leon Karłowicz urodził się na Wołyniu, jako Leon Mariański. Przysiadźmy tu na ławeczce w cieniu lipy, już mnie trochę zmęczył ten spacer, odpocznę i opowiem Ci jak to z tym Mariańskim było. Albo nie, lepiej posłuchajmy! Bo masz telefon „z tymi Internetami”? – Żartując zapytał mnie mój rozmówca.

– Mam, panie Alojzy. Czego powinnam szukać „w tych Internetach”? – Zapytałam.

– Radio Lublin nadaje taki program „Na własne uszy”. W kwietniu tego roku, w reportażu Mariusza Kamińskiego pod tytułem „Z Wołynia i na Wołyn”, syna Leona, Andrzej Karłowicz opowiada historię swojego ojca. Tłumaczy też tam, dlaczego ojciec zmienił nazwisko.



Wpisałam w wyszukiwarkę potrzebne dane i w towarzystwie pana Alojzego wysłuchałam ciekawego reportażu. Tylko Kami była bardziej zainteresowana pszczelowolskimi wronami☺

Małgorzata Pruchnicka

Antonina Słowińska,
Skarb ukryty w dziupli starej lipy

Przypisy:

¹ https://pl.wikipedia.org/wiki/Pszczela_Wola, dostęp w miesiącu czerwiec 2023

² *Generał Franciszek Rohland i jego potomkowie*. Leon Karłowicz Strzyżewickie Towarzystwo Regionalne 1996, str. 35-36

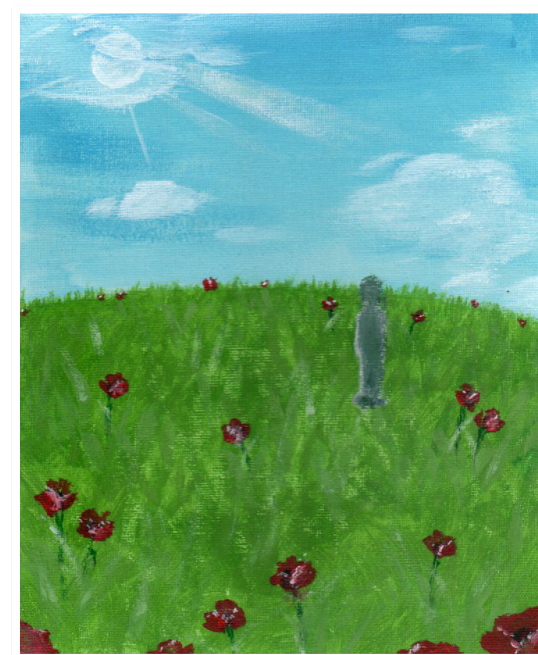
³ Gmina Strzyżewice – Miodowy Zakątek. Wybór wierszy i prozy. Strzyżewice 2006. W publikacja nie numerowano stron

⁴ <https://radio.lublin.pl/2023/04/16-04-2023-mariusz-kaminski-z-wolynia-i-na-wolyn> dostęp w miesiącu czerwcu 2023

Przystanek nr 4

podczas naszej *Literackiej...* „podróży” to Gospodarstwo Agroturystyczne p. G. Baran. Tematem spotkania był pobyt (jak się okazuje niejednokrotny) Króla Władysława Jagiełły w Kielczewicach. Prelegentem była członkini STR p. Magdalena Samborska. Swoją wiedzę dotyczącą tego niezwykle dla nas wydarzenia, także podzieliła się z nami właścicielka gospodarstwa, pani Gienia. Po części historyczno- regionalnej zwiedziliśmy wiejską zagrodę w Kielczewicach, i jej mieszkańców: ozdobne ptactwo, bydło szkockie, kucyka, alpakę, świnkę, owce... Kolejnym punktem programu była przejażdżka po drogach i bezdrożach Kielczewic. Pani Gienia powoziła „karetą” zwaną „30tką”, a my niczym królewska świta podziwialiśmy okolice. Zatrzymaliśmy się w uroczym zakątku zwanym Lawendowym Wzgórzem i kontemplowaliśmy przyrodę szukając weny. Po powrocie przyszedł czas na posiłek - pierogi były wyborne i ćwiczenie literackie „Słoik słów”. Wylosowaliśmy słowa, które musiały znaleźć się w pracy domowej. Oprócz tematów dowolnych, do wyboru były:

1. Opisz używając m.in. wylosowanych słów, jak widzisz pobyt króla Władysława Jagiełły w Kielczewicach.
2. Polowanie z królem Jagiełłą.
3. Król Jagiełło na kielczewickiej łące/kuligu



Antonina Słowińska, *Na kielczewickiej łące*

Jagiello w Kielczewicach

Wśród zielonej trawy i polnych łąk,
przybył Władysław, król.
Kareta jego, jak złoto lśniące
na drodze błyszczy. Pełna wspaniałości!

Kielczewice witają go w zachwycie,
Trawa zielona, jak dywan pod nogami,
Staje się ścieżką wiodącą ku zamkowi...

W pamięci pozostanie ten pobyt piękny,
jak wiersz zapisany na kartach historii.

Anna Kołodziejczyk



Kacper Brzuskowski, Potęga króla

Lepsza osoba

Podałam się...
Może kiedyś zrozumiesz, dlaczego.
Oddałam się cała tej ciemności,
ona jest zawsze.
W chwilach szczęścia, smutku i złości.
Nie pytaj mnie czy chciałam...
Ja po prostu tak musiałam!
Była silniejsza niż inne emocje.
Depresja tu przyszła i nie będzie miłych wspomnień.
Mam Cię przy sobie i ufać Ci mogę,
ale gdy zniknę znajdź lepszą osobę...
Da od siebie wszystko to, czego ja nie miałam,
a wtedy zrozumiesz, że czas twój zmarnowałam...

Klaudia Poleszak



Basia Kołodziejczyk, Polowanie na zwierza

W Kiełczewicach, gdy Władysław zawitał,
Muzyka rozbrzmiewała na każdym kroku.
Słowik śpiewał swą pieśń na gałęzi,
Wzruszając serca dźwiękiem swoich słów.

Król Jagiełło, zanoszony melodią,
Przyjmował ciepłe powitania ludu.
Słowa przyjaźni witały go serdecznie,
A muzyka wносиła w duszę ukojenie.

Trawa zielona, przytulała krok króla,
Każdy szmer liści grał w ich harmonię.
Słowik w rytm skrzydeł wznosił się w powietrze,
A melodia rozbrzmiewała jak błogie czary.



Sandra Tracz, Jagiełło w podróży

W Kiełczewicach zagoszczono wraz z muzyką,
Król i słowik, tańczący w harmonii.
Dźwięki wiosenne unosiły się wysoko,
Przenikając serca, odkrywając tajemnice.

Król Jagiełło, opleciony dźwiękową aurą,
Wyruszał z Kiełczewic z nowym zapalem.
A muzyka towarzyszyła mu w drodze,
Rozbrzmiewając w duszy na zawsze niezgłębionej.

Ewelina Kołodziejczyk

Szczęście

Ciągle cię szukam i znaleźć nie mogę,
cały czas myślę o tobie.
Dlaczego uciekłeś z mej wojny,
chciałeś być spokojny?
Tęsknię za czasem, gdy ciebie widziałam,
z tobą mniej myślałam i innym ufałam...
W nocy często nie śpię.
Rano energetykiem pobudzę swe serce.
Nie chcę Was martwić, więc kryję to w sobie.
O innych wciąż myślę.

Klaudia Poleszak

Zabójczy śpiew słowików

Władysław Jagiełło
był to władca Polski
potężny, przekonany,
że nikt ani nic
go nie pokona.

Król kochał słuchać
śpiewu słowików
więc pewnego razu
w nocy wybrał się do lasu,
by po raz kolejny
ukoić swoją duszę
ptasim śpiewem.

Noc okazała się chłodna
a wkrótce z przeziębienia
rozwinęło się zapalenie płuc
którego wynikiem była śmierć Jagiełły.

Władca nie zginął mężnie w boju,
nie został też otruty,
czego przez całe życie się obawiał.
Pokonała go
miłość do śpiewu słowików...

Agata Zemszał

Wywiad

Julia Depa: Dzień dobry. Czy zechciałaby Pani odpowiedzieć na kilka pytań?

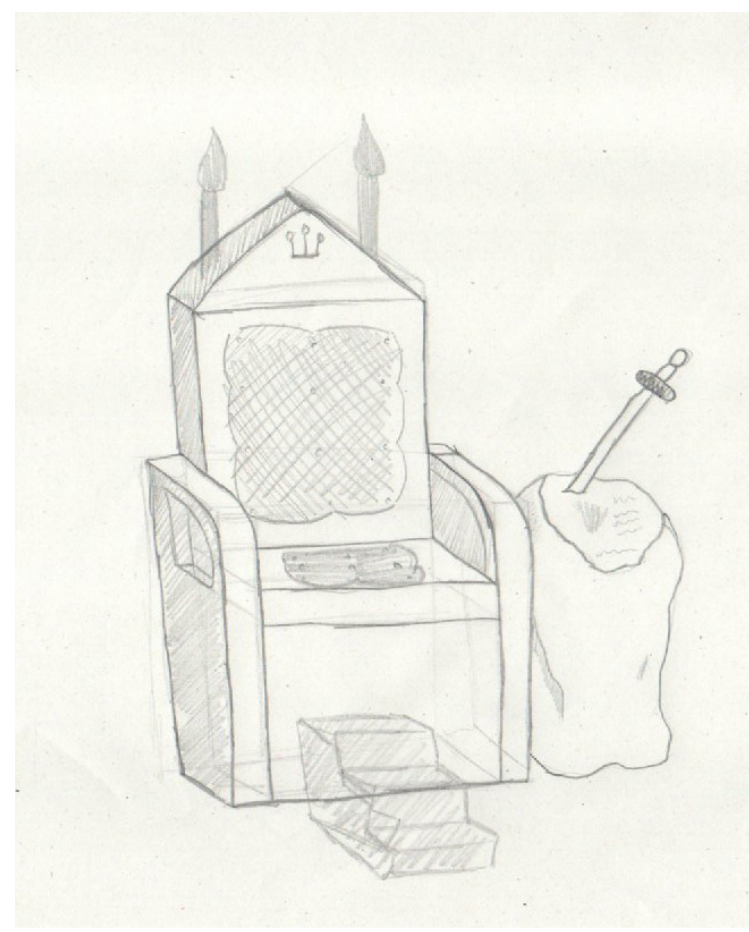
Genowefa Baran: Dzień dobry. Oczywiście, że tak.

JD: Skąd dowiedziała się Pani o wizycie Króla Jagiełły w Kielczewicach?

GB: Dowiedziałam się z informacji w Internecie.

JD: Prowadzi Pani gospodarstwo agroturystyczne, więc na pewno przygotowuje Pani też posiłki dla Gości. Jak się Pani wydaje, co jadał król Jagiełło?

GB: Jadał wszystko, co pochodziło z lasu. Kochał jadać mięso, więc pewnie jadł i dziczyznę z naszych okolicznych lasów. Na pewno jadł też różnego rodzaju owoce i warzywa.



Jakub Piechnik, Ławeczka Jagiełły

JD: Czy myśli Pani, że mógł spacerować czy odpoczywać na terenie dzisiejszego Pani ogrodu czy łąki?

GB: Myślę, że jak najbardziej, ponieważ tu była i nadal jest w pobliżu rzeka Bystrzyca. Były tu także lasy, bory także król na pewno się tu przemieszczał.

JD: Jakie działania Pani poczyniła, żeby nagłośnić to historyczne wydarzenie, pobyt króla Jagiełły, wśród lokalnej społeczności?

GB: Zaczęłam, co roku jesienią, organizować w Kiełczewicach wydarzenia, by uczcić ten fakt. Organizujemy też Biesiady z Królem, Konkursy potraw Jagiellońskich, przygotowywanych przez Koła Gospodyń z okolic. Podczas Biesiad z Królem, grupa rekonstrukcyjna z Lublina przywozi ze sobą *różnego* rodzaju rekwizyty: łuki oraz miecze, jakimi zapewne posługiwał się Jagiełło.

JD: Podobno zamierza Pani czymś jeszcze upamiętnić pobyt Króla?

GB: Marzy mi się w moim ogrodzie, obok przystanku, postawić ławeczkę upamiętniającą pobyt Króla Jagiełły.

JD: A czy można u Pani w Gospodarstwie robić coś, co Król lub Jego dwór robili dawniej? Na przykład strzelać z łuku, jeździć konno?

GB: Jak wspominałam wcześniej na biesiadach można strzelać z łuku. Można też zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie z Królem Jagiełło i Królową Anną.

JD: Czy chciałaby Pani dodać coś naszej rozmowy?

GB: Organizujemy również warsztaty zielarskie z ziołami leczniczymi używanymi przez Króla. Wszystkie te zioła posiadam w własnym ogrodzie. Zapraszam serdecznie do mojego gospodarstwa.

JD: Serdecznie dziękuję za rozmowę.

GB: Dziękuję.

Rozmowę z p. Genowefą Baran przeprowadziła Julia Depa

Bezsenna

Damian westchnął głęboko, przekręcając się na lewy bok. Mimo szeroko otwartego okna, nieprzyjemna duchota utrudniała mu wzięcie kolejnego oddechu. Dlatego nie znośił lata. Odkąd pamiętał, gorące dni i noce tylko pogłębiały jego bezsenną. Czas mijał a on pusto wpatrywał się w zaciemiony sufit. Wiedział, że nie zaśnie, dlatego narzucił na siebie granatowy dres, który tylko pogłębił jego bladą cerę i głębokie fioletowe cienie pod oczami. Wychodząc z domu przyłożył głowę w futrynę przeklinając swój ponadprzeciętny wzrost. Pokierował się w stronę parku. Na tle nocy przypominał trochę wysoki słup, bo na dokładkę do tych centymetrów wzrostu, przez szybki metabolizm, był chudy jak przysłowiowa szkap. Przez kilka minut siedł w ciszy, garbiąc się z przyzwyczajenia. Wtem z mlecznej ciemności, dobiegł stukot końskich kopyt. Dopiero po dłuższej chwili młodzieniec zrozumiał, że coś jest nie tak. Zdecydowanie, nie tak. Owszem w okolicach strzyżewickiego parku znajdowały się przynajmniej dwie stadniny, jednak, co konie robiły tutaj o tej porze? Mężczyzna ze zdumieniem spojrzał na swój zegarek elektroniczny, na którym widniała 02:30 nad ranem. Nadchodziły konie piękne i majestatyczne. Ich kopyta uderzały rytmicznie w chodnik z ubitej ziemi. Zwierzęcia sierść lśniła w świetle nocy niczym gwiazdy. Na czele orszaku podążał półprzezroczysty duch, dosiadający najdoskonalszego ogiera, jakby spowitego z promieni wstającego słońca. Przybysz miał na sobie bogato zdobiony płaszcz z welwetu, przewlekany złotą nicią, jego długie rękawy łopotały za nim. Pod spodem nosiły ozdobną tunikę szytą na miarę. Na głowie miał koronę wykonaną ze złota i ozdobioną cennymi kamieniami. W jednej chwili Damian poczuł potrzebę rzucenia się nieznajomemu do stóp, choć nie wiedział, dlaczego. Wizerunek ducha był dla młodzieńca dziwnie znajomy, zupełnie jakby kiedyś, nawet wiele razy, widział go w albumie ze zdjęciami. Wyteżył swój umysł, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Duch zatrzymał konie podniesieniem ręki, a one cicho rżąc, wydawały się go rozumieć.

– Kim jesteś wędrowcze? Czym zajmujesz się o tej porze? – Duch król spojrzał na Damiana z zainteresowaniem.

– Mam na imię Damian. To chyba tylko bezsenna królu... – odpowiedział nim zdążył pomyśleć.

– Bezsenna to straszna dolegliwość – zgodził się król z nutką współczucia – miałem nieszczęście przeżyć wiele bezsennych nocy. Zdołałem wiele osiągnąć, jednak zrozumiałem, jak ważny jest sen dla zdrowia i vitalności.

– Nie wydajesz się zbyt żywy, panie... – grzecznościowe zwroty syptały się na język Damianowi, wbrew jego woli.

Zjawa zaśmiała się gardłowo, skinąwszy głową.

– Owszem przyszło mi być nieżywym od długiego, długiego czasu. Jednakże nie jest to problemem. Dzięki tej okoliczności mogę każdej nocy wyruszyć na polowanie, by chronić moje królestwo.

Niewiele rozumiejąc Damian zapytał:

– Ale, przed czym?

– Różnie to bywa, młodzieńcze. Po ziemiach od zawsze chodzi mnóstwo potworów. Raz Wargin¹... To dopiero bestia! Wiesz, czymże była? Otóż kotem! A nawet królem kotów! To podłe stworzenie lęka się argumentacji... I nie dziwota, że aby go wystraszyć potrzeba uczonego. Dlatego też Wargin ima się szkolnych liceów, a najlepiej takich z dużą ilością nauczycieli matematyki. Rachunek działa na bestię jak egzorcyzm! Ale gorsze są różniczki! Chociaż sprawiedliwie muszę przyznać, że i mnie od nich boli głowa. Następne są domowe duszki.² Wątpię, żeby ktokolwiek chciał się ich pozbyć, bowiem to najpocziwsze stwory jednak, jeśli komuś na tym zależy jest pewien niekonwencjonalny sposób. Najlepiej wysłać pocztę grubym gołębiem! Proponuję pocztówkę wakacyjną. Dołożone nań bilety przepłoszą najodważniejsze duszki, w końcu boją się one odpoczynku. Trzecie są krasnoludy, potrafią być mściwe. Aby pozbyć się krośniat³, bo i tak są nazywane, wystarczy natrzeć ich brodę kremem z pokrzyw i stokrotek. Jedno warto pamiętać, te karły przyjdą po zemstę. Jeśli chcesz jej uniknąć, warto podarować im szczegółowe plany budowli. Najlepiej domu mieszkalnego! Radziłbym jednak innego niż budynku, który wcześniej nawiedzały. Ale aby to wszystko uczynić trzeba je najpierw wytropić i złapać. A teraz w drogę! Dostałem zaszczytu rozmowy z tobą młodzieńcze, jednak czas na mnie – odrzekł król.

– Nadal nie znam twojego imienia! – Wykrzyknął Damian za oddalającą się sylwetką króla i tętniącymi końmi.

– Jagiełło! – Odpowiedziało mu tylko echo głosu ducha.



"Duch dosiadający najdoskonalszego ogiera, jakby
spowitego z promieni budzącego się słońca"

Joanna Kuśmierz

" Bezsenność"

– Damianie! Otrząśnij się!

Damian zamrugnął zdziwiony. Ze zdumieniem zauważył, że siedział na wilgotnej ziemi. Obok stała pani Grażynka, jedna z najmilszych staruszek, jaką znał.

– Zmartwiłam się! Wołałam, a ty nie reagowałeś – kobieta spojrzała na niego z niepokojem – czy wszystko w porządku? – Dopytywała starsza pani.

– Och... jej... Myślę, że tak – odparł nieprzytomnie. – Chyba powinienem wziąć leki.

Joanna Kuśmierz

Objaśnienia /zaczerpnięto z Wikipedii, dostęp na dzień 29 czerwca 2023/:

*¹ Wyraz „Wargin” (Варґін) prawdopodobnie pochodził z litewskiego słowa „varginti”, co w tłumaczeniu oznaczało „mękę” lub przynoszenie „cierpienia”. Wargin wyróżniał się wśród innych kotów swoim wyglądem. Był ogromny, czarny jak smoła, z błyszczącym, puszystym futrem, gładkim i miękkim kosmatym ogonem podobnym do sobolowego. W folklorze Słowińskim wargin znany jest, jako demoniczny kot, który przynosił same nieszczęścia.

*² Krośnięta (mit. słowiańska) – demony regionalne znany w folklorze kaszubskim, pochodzące najpewniej z czasów przedchrześcijańskich. Raczej nie były to odpowiedniki polskich krasnoludków lub ubożąt albo germańsko-nordyckich karłów (krasnoludów), gdyż w odróżnieniu od nich, nie posiadały wyłącznie płci męskiej.

*³ Duchy domowe – według dawnych wierzeń ludowych istoty nadprzyrodzone zamieszkujące w każdym domu. Wiara ta miała swe zakorzenienie w kultcie przodków, którzy nawet po śmierci pozostawali blisko swoich siedzib: grzebano ich w otoczeniu domu lub nawet pod podłogą izby. Duszki opiekowały się dziećmi, zamiatały izbę, a w niektórych regionach – szły do pracy w polu i zajmowały się obrządkiem bydła. Złe (albo niezadowolone) duchy domowe były bardzo kłopotliwe: przesładowały zwierzęta, koniom np. zaplatając z grzyw warkoczyki.

Król kielczewickich łąk

Nadbystrzyckie łąki spowite były wrześnieowymi, porannymi mgłami. Dziś w nadechodzący, sobotni dzień, delikatnymi jak roztarty, malowany puszek. Promienie słoneczne jeszcze nawet nie wstawały, a Kasia już z rodzicami obutymi w kalosze, pokonywała kielczewickie rozłogi, by za chwilę, kiedy tylko dzień zacznie zdejmować z siebie nocną kołderkę, móc w towarzystwie rodziców, pasjonatów fotografii, zamykać w kadrze ukochaną przyrodę. Każde z nich miało swoją „zajawkę”. Mama uwielbiała fotografować chmury, promienie słońca przeciskające się przez gęsto utkane krzewy i drzewa, opady deszczu czy śniegu. Szczególnie ceniła sobie perliste krople rosy na różnego rodzaju liściach, trawach. Kasia stawiała na rośliny i mieszkające lub stołujące się w nich pszczoły, biedronki, motyle. Tata, wyposażony w odpowiedni obiektyw czaił się na żurawie, łabędzie i inne ptactwo, najlepiej idealnie uchwycone w locie.

– Tato czy Ty myślisz, że to właśnie po tych łąkach mógł przed wiekami spacerować król Jagiełło? Ostatnio w szkole wszyscy mówią tylko o tym, że w 1416 roku był on w Kielczewicach.

– No nie wiem czy dokładnie w tym miejscu stąpał, ale na pewno w tych okolicach. Te informacje, że król bywał w naszych stronach trzykrotnie, są potwierdzone. Nie możemy stwierdzić gdzie był dokładnie, bo przecież ukształtowanie terenu przed wiekami było z pewnością inne. Kraina była lesista, a król uwielbiał polowania. Rzeka na pewno nie płynęła tak wąskim korytem i spokojnym jak teraz nurtem, ale tworzyła rozlewiska, przez które trzeba było się przeprawać.

– I sądzisz tato, że król ze swoim dworem tak właśnie się przez Bystrzycę przeprawiał?

– Oczywiście. „Życie w drodze” Jagielle się podobało. *Jeśli były ku temu sprzyjające okoliczności, nie gardził wygodami, lecz nie był sabarytą i równie dobrze znosił warunki polowe, zadowolając się tym, co jest. Podczas polowań potrafił całe dnie ścigać zwierzynę, wieczorem wygłodniały pochłoniąć niedopieczone nad ogniskiem mięso, a w końcu zasnąć na posłaniu z gałęzi przykryty kozuchem, co z satysfakcją godną lepszej sprawy wypominał nielubiący Jagiełły Jan Długosz*¹

Kasia się zamyśliła. Obserwowała trzcinę, która kołysząc się w różne strony, prowadziła sprzeczkę z delikatnym wiatrem.

– Mamo, ale to trochę taka tułaczka. Dworska, ale jednak. Co król i jego dwór jedli będąc w drodze? – Kasi zaburczało w brzuchu, bo nie jadła śniadania i chyba stąd to pytanie dotyczące *posiłków*.

– *Masz rację. Trudniejsze wyzwania czekały personel kuchenny, gdy przyszło żywić dwór na podróży. Wojaże były częścią królewskiej codzienności i specjalnością Jagiełły, który na Wawel ścigał tylko na kilka miesięcy w roku. (...). Trze-*

ba było wtedy spakować sprzęty kuchenne i niezbędny prowiant, jak choćby wino i przyprawy, przetransportować je w miejsce będące kolejnym etapem podróży i – bywało- przygotować posiłek dla nawet ponad 100 osób często w zupełnie nieznanych warunkach. Zatrzymywano się przede wszystkim w królewskich dobrach, ale też w magnackich dworach i siedzibach dostojników kościelnych rozsiadanych na szlaku wędrówek orszaków królewskich. Podróżujący z królem kuchmistrz musiał, więc wysłać najpierw sprzęt oraz kucharzy i niejako zdalnie zorganizować posiłek dla władcy oraz zaproszonych przez niego gości. W dodatku przygotowane potrawy nie mogły gorszym smakiem ani wyglądem narazić na szwank prestiżu władcy. Po drodze trzeba było zrobić jeszcze zakupy, bo nie pobierano już od ludności danin w prowincjach, jak to się działo za Piastów. Kupowano, więc „woły, krowy, kury, kuropatwy, zające, wieprzowinę, ryby, mak, chleb, mleko, sery, masło, piwo, owies, dostarczone do stołu <pani królowej> lub <pana króla> albo obojga państwa. (...) Zdarzało się, że w drodze brakło pieniędzy na zakupy i wtedy, by je zdobyć, trzeba było na gwałt zastawić cenniejsze sprzęty lub niestety zadowalać się skromniejszym jedzeniem.²

– A wiecie może – spytała Kasia fotografując właśnie jakiegoś robaczka na tle przekwitającego fioletowego łąkowego kwiatka – co konkretnie jadł wtedy król?

– W życiu codziennym – kontynuowała mama – Jagiełło także nie miał zbyt wysokich wymagań, a jego gusty kulinarne nie były wyrafinowane. Polubił wprawdzie polską kuchnię, z apetytem jadł zrazy, zwane wtedy „suropiekami”, bardzo smakowały mu też „flaky”, polewki, pieczenie, kiszki i bigosy. Najmilej jednak widział na stole dania rodem z ojczystej Litwy. Na jego polecenie sprowadzono nawet do Krakowa tamtejszą odmianę pasternaku, z której jego kuchmistrz, Mikołaj Koza, dysponował warzeniem barszczu (tym mianem określano każdą przyrządzaną na bazie kiszonych części roślin – niekoniecznie buraków – kwaśną zupę) na królewski stół. Często raczył też swego chlebowawcę innymi litewskimi specjalnościami, były wśród nich: potrawa z gęsich podrobów, kisiel owsiany, duszona rzepa, mak utarty z miodem z dodatkiem bakalii, chłodziec, „pirogi”, faszerowane serem, mięsem lub warzywami oraz pierogi serowe gotowane w maśle, przypominające trochę dzisiejsze kluski leniwe, za którymi król wprost przepadał. Przedkładał też Jagiełło chleb ciemny, razowy z otrębami nad ciemne pieczywo. Często na jego stole stała baranina, i to nie tylko z jagniąt, ale i starszych sztuk, którą chętnie raczyli się również litewscy i ruscy członkowie jego dworu. (...) W dni postne mięsa były zastępowane przez potrawy z ryb i innych „stworzeń wodnych”, na przykład z raków, ptaków pływających, bobrowych ogonów. Gorliwsi wierni, do których należał Jagiełło, wyrzekali się wtedy wszelkiej innej strawy, zadowalając się jedynie chlebem i wodą. Przyznać trzeba jednak, że król, który sam rygorystycznie pościł, nie zmuszał stołowników mniej gorliwych w wierze, by szli w jego ślady. Podobnie jak przy stole Jadwigi, każdy

z członków jego międzynarodowego dworu mógł przestrzegać postów zgodnie z nakazem swego wyznania.³

– W takim razie byli bardzo tolerancyjni – odezwał się skupiony na fotografowaniu tata Kasi, który właśnie chwycił kaczkę, głośno coś w locie krzyczącą i w myśli nadał tytuł zdjęciu: „Kaczka w furii”.

– Wiesz Piotrze – odezwała się mama Kasi - Król nie oczekiwał również, że jego stołownicy wyrzekną się ulubionych trunków – piwa, miodu syconego czy wina. Sam był abstynentem. Pił głównie wodę źródlaną (studzienna lub rzeczna była zwykle zanieczyszczona i uważano ją – w tej sytuacji zupełnie słusznie – za niezdrową, podobno także sprowadzaną aż z Litwy. Jedynie od naprawdę wielkiego dzwonu pozwalał sobie na odrobinę rozcieńczonego nią wina. Nie gardził również mlekiem, słodkim i kwaśnym, na co raczej nie znajdował naśladowców. (...) Do gaszenia pragnienia kuchnie przygotowywały również wywary z owoców i ziół, soki owocowe, sok brzozy, jednak piwo było wtedy podstawowym napojem dla wszystkich. (...) Abstynencja Jagiełły pozytywnie wpływała na kulturę dworskich biesiad, trunki nie lały się strumieniami, po prostu przy pijącym wodę królu nie wypadało przesadzić z procentami.⁴

– Ooo wygląda na to, że król Jagiełło był kulturalnym biesiadnikiem – powiedział Piotr do Oli.

– Myślę, że tak. Jednak to nie dbałość o kulturę biesiad motywowała Jagiełłę do nieużywania alkoholu, lecz obawa przed otruciem. I nie była ona bezpodstawną. (...). Ponieważ truciznę najłatwiej było podać w alkoholu, podejrzliwy z natury Jagiełło stosował najpewniejszą metodę ochrony przed nią przejętą po swoim ojcu – po prostu nie brać go do ust. Poza tym stawiał na daleko posuniętą ostrożność – nawet wodę, podobnie jak jedzenie, podawał mu tylko jeden zaufany człowiek. Jan Długosz zanotował, że Jagiełło nie pozwalał nawet, by ktoś niepowołany dotykał jego naczyń oraz sztućców. Nie znosił też, gdy ktoś „tknął się jego szaty, łóżka, krzesła, konia, chusteczki, kielicha, i innych podobnych rzeczy, których używał”, bo to mogło dać okazję do nasączenia ich trucizną. (...) Jagiełło chronił swoje rzeczy, otaczał się ludźmi sprawdzonymi, a ich absolutną lojalność sówicie nagradzał. (...) Każdy średniowieczny dwór – królewski, książęcy czy magnacki – zatrudniał specjalnego urzędnika, którego obowiązkiem było próbowanie potraw przeznaczonych dla ich wysokości, czy nie zawierają zabójczych dodatków. Urzędnik ów, zwany zwykle stolnikiem lub podstolim, wkładał do potrawy przeznaczonej dla swego pana kawałek chleba, a następnie przykładł go do języka, po czym wrzucał chleb do specjalnego ozdobnego naczynia, skąd zabierała go służba. Próbowane również były napoje, przynajmniej te przeznaczone na najważniejszy stół, jednak najlepsza gwarancją bezpieczeństwa była według Jagiełły abstynencja i służba całkowicie oddana swemu panu⁵ Ola przestała opowiadać, skupiając się na odpowiednich ustawieniach aparatu.

Nastąpiła długa przerwa na fotografowanie, każdy się od siebie nieco oddalił, by sobie nie przeszkadzać, nie wchodzić w kadr i zająć się tym, po co tak naprawdę tu przyszedł. Rozmowę kontynuowali w drodze powrotnej.

– Wracając do króla Władysława, wiemy, jakie owoce jadał? – Dopytywała zaciekawiona tematem Kasia.

– Według Długosza Jagiełło odżegnywał się nie tylko od alkoholu, ale także od jabłek. Podobno „ich zapachu nienawidził.” Rachunki dworskie jednak mówią, co innego – jabłka trafiały na jego stół, często w towarzystwie orzechów laskowych. (...) niewykluczone, że przydarzyła się Jagielle jakaś gastryczna przygoda z jabłkami – z myciem owoców różnie wtedy bywało, a dla ogrodników i przekupniów czystość rąk nie była priorytetem – po której wolał tych owoców unikać i sam ich zapach już go drażnił. (...). Dokumenty temu nie przeczą, że „gruszki dobre i słodkie” (...) lubił(...) i często kryjomo jadał. Dlaczego „kryjomo”? Może, dlatego, że w średniowieczu grusza ze względu na nieskazitelną biel kwiatów uchodziła za symbol Marii Panny, a w dodatku kształt owocu oraz delikatny smak sprawiały, że uważano je za przypisane kobiecości, więc mężczyźni objadający się nimi mogli zostać posądzeni o zniewieściałość. Musiał, zatem Jagiełło skrywać swój apetyt na nie, śliwki natomiast, wiśnie, poziomki, jagody, proszowickie winogrona i brzoskwinie oraz melony jadł z wielki apetytem.⁶

– Wiemy także – kontynuowała po przejściu przez jezdnię mama Kasi – że miał okazję próbować również sprowadzanych z południa i ogromnie kosztownych cytryn⁷

– A jakieś słodczyce wówczas jadano?

– Król Władysław - można to śmiało powiedzieć – był amatorem słodkości. Lubił owoce suszone i smażone w miodzie oraz bakalie i ciasta z serem lub owocami. (...) Przygotowywano owocowe powidła. I cukierki. Nie były to słodczyce w dzisiejszym rozumieniu, smak miały raczej pikantny i spożywano je głównie dla odświeżenia oddechu.⁸

– Zatem ciekawe jak wówczas rozpieszczano dzieci... – znów dociekała Kasia.

– O tym, by rozpieszczano jakimikolwiek słodkościami dzieci królewskie, nic nie wiadomo. Prawdopodobnie (...) obywały się bez nich. Dzieci żywiono wtedy dość skromnie, za całe łakocie musiały, więc w najlepszym razie wystarczyć im miód i suszone owoce. Wprawdzie – jako słabsze i delikatniejsze – jadły cztery posiłki dziennie, ale nawet królowięta musiały się zadowalać prostymi potrawami serwowanymi w dodatku w niewielkich porcjach, co miało sprzyjać ćwiczeniu cnót pokory i umiarkowania. Dzieciństwo również zwalniało od postu, lecz już po siódmych urodzinach zaczynano wdrażać dzieci do praktykowania religijnych rygorów kulinarnych. Osiągnąwszy społeczną dorosłość, czyli tak zwany wiek uprawniający

do zawarcia małżeństwa, musiały pościć tak samo jak dorośli, ale mogły, też tak jak oni, jeść wystawne posiłki bez żadnych ograniczeń.⁹

– Ciekawe to królewskie życie – westchnęła Kasia.

– Po dobrym posiłku król Jagiełło lubił się zdrzemnąć. W ogóle lubił spać. Długosz zanotował, że król rano wstawał dość późno, przez co spóźniał się na msze. (...) Kronikarz zauważył: „Po jedzeniu kładł się zwykle i oddawał spoczynkowi. Sypiał długo, a wstawszy z łóżka szedł do wychodku, gdzie długo także wysiadując wiele czynności układał, a nigdy nie był przystępniejszym i łatwiejszym jak wtedy: przeto wszyscy korzystali zwykle z takiej pory dla wyjednania sobie tego, co im było pożądane”. (...) Miejsce, do którego szedł piechotą, znajdowało się w wieży zwanej Kurzą Stopką i – sądząc po podobnych pomieszczeniach w średniowiecznych zamkach, choćby krzyżackich, było wielostanowiskowe. Przypominało coś w rodzaju ławy z otworami, z których mogło korzystać kilka osób jednocześnie. Nic więc dziwnego, że spotykający się tam panowie wymieniali między sobą uwagi na różne tematy. Bywało, że mający jakieś prośby do króla starali się niby przypadkiem tam go spotkać i nadmienić o sprawie, unikając dworskiej hierarchii, pompy i nadmiaru podsłuchujących uszu.¹⁰

– Czy jeszcze znasz mamu jakieś ciekawostki dotyczące Władysława Jagiełły? – po dotarciu do domu zapytała Kasia.

– O tak – odpowiedziała Ola zdejmując mokre kalosze – Król Jagiełło prowadził jakbyśmy dziś powiedzieli – higieniczny tryb życia: jadł umiarkowanie, choć według Długosza zdarzały mu się niekiedy poważne wpadki. Gdy na stół trafiło danie, które szczególnie lubił lub które bardzo mu zasmakowało, potrafił przebrać miarę. (...)Poza tym król nie pił alkoholu, dużo się ruszał, i przebywał na powietrzu, dobrze sypiał, kąpał się co drugi dzień w miedzianej wannie w kształcie konia, którą zabierał ze sobą w podróże. Nic więc dziwnego, że przez całe życie zachował szczupłą sylwetkę, dobrą kondycję i nie miał wielu powodów do narzekania na zdrowie. (...)Był wzrostu miernego, czyli średniego, a więc mierzył około 168 centymetrów. (...). W ostatnich czasach dokuczały mu nieco bóle reumatyczne i miał kłopoty ze wzrokiem, ale nadal sprawnie jeździł konno. Żyłby dłużej, gdyby nie zamilowanie dosłuchania nocnych treli słowika. Jak opisał Długosz, w drodze na Ruś król stanął w Medyce, gdzie wybrał się wieczorem do lasu. Ptasi koncert był wspaniały i słuchał go prawie do świtu. Noc była jednak chłodna. Przeziębł się, a z przeziębienia wywiązało się zapalenie płuc, z którym ówczesna medycyna nie była w stanie sobie poradzić. Tak więc nie trucizna, której się przez całe życie obawiał, lecz ulubione ptasie trele, położyły kres jego żywotowi. Zmarł 1 czerwca 1434 roku w Gródku, zwanym na pamiątkę Jagiellońskim. Ciało pogrzebano na Wawelu, a serce w kościele franciszkanów w Gródku. Był pierwszym w Polsce, który zażył sobie takiego „rozdzielnego” pochówku.¹¹

– Skąd ty to wszystko wiesz, mamó?

– Bo czytam książki. Także, te dotyczące naszej małej ojczyzny. Strzyżewicka biblioteka ma taki dział pod nazwą Strzyżewiana. Jest tam wiele ciekawych pozycji, jeśli chcesz, możemy się tam wybrać. Nawet dzisiaj.

– Dzisiaj? Przecież jest sobota!

– Strzyżewicka biblioteka w trakcie roku szkolnego czynna jest także w sobotę.

– W takim razie wybiorę się tam razem z wami – znów do rozmowy dołączył Piotr. – Może i ja wrócę do czytania książek, bo ostatnio nie miałem na to czasu.

– Pewnie! Fajnie jest dzielić pasję z rodziną – z zadowoleniem podsumowała Kasia.

Małgorzata Pruchnicka

Stacja końcowa

I tak dojechaliśmy do kresu naszej podróży. Mamy świadomość, że literackie upodobania są bardzo różnorodne, ale towarzyszy nam myśl, że każdy w tej publikacji znalazł coś dla siebie: zdanie, które go poruszyło, wspomnienia, które odżyły czy obraz, który zachwyił.

Tych, którzy mają niedosyt, uspokajamy i wyjaśniamy, że nasza „kareta” tak się w podróży rozpędziła, że nie zamierzamy z niej na dłużej wysiadać. Troszkę tylko odpocznijmy i będziemy dalej *Oswajać słowa* z nadzieją, że spotykamy się z Wami Drodzy Czytelnicy w jeszcze niejednej publikacji;)

Autorzy

Przypisy:

- ^{1.} Wika Filipowicz Przy stole z królem. Jak ucztowano ma królewskim dworze. Od Jagiełły do Elżbiety II. Znak Horyzont. Kraków 2020, str. 69
- ^{2.} Tamże, str. 68-69
- ^{3.} Tamże, str. 69-70
- ^{4.} Tamże, str. 71-72
- ^{5.} Tamże, str. 72-77
- ^{6.} Tamże, str. 77-78
- ^{7.} Tamże, str. 79
- ^{8.} Tamże, str. 80
- ^{9.} Tamże, str. 81-82
- ^{10.} Tamże, str. 82-84
- ^{11.} Tamże, str. 84-85

Wybór i opracowanie tekstów:

Małgorzata Pruchnicka

Korekta:

Dorota Szczepańska

Projekt okładki: Antonina Słowińska

Projekt mapy: Natalia Golega

Autorzy prac:

Brzoskowski Kacper, Depa Julia, Golega Natalia, Kołodziejczyk Anna, Kołodziejczyk Barbara, Kołodziejczyk Ewelina, Kuśmierz Joanna, Piechnik Jakub, Polak Maja, Poleszak Klaudia, Pruchnicka Małgorzata, Rycak Zuzanna, Słowińska Antonina, Szczepańska Dorota, Tracz Sandra, Zemszał Agata



Gminna Biblioteka Publiczna im. Ewy Kołaczkowskiej w Strzyżewicach

Strzyżewice 108, 23-107 Strzyżewice, tel./fax 81 566-60-67,

www.biblioteka.strzyzewice.lubelskie.pl; e-mail: biblioteka@strzyzewice.lubelskie.pl



Narodowy
Program
Rozwoju
Czytelnictwa
2.0



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego w ramach
realizacji Narodowego Programu Rozwoju
Czytelnictwa 2.0 na lata 2021-2025



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY

Publikacja bezpłatna



Liber Novum
OFICyna WYDAWNICZA

Redakcja wydawnicza, skład komputerowy oraz druk

85-365 Bydgoszcz, ul. Jesienna 7, tel. 52 373-30-98, 607 151 283

e-mail: oficina@libernovum.pl, oficinawydawnicza@wp.pl

www.libernovum.pl

ISBN 978-83-969272-2-4